



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



od
RARAŃCZY

DO MARMAROS-SZIGET

Z. GERMANOWA



NASZA KSIĘGARNIA

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Colour Chart #13

Centimetres

Inches



od RARAŃCZY

S. BOBINSKI

78
DO MARMAROS-SZIGET

Z. GERMANOWA



NASZA KSIĘGARNIA

OD RARAŃCZY DO MARMAROS-SZIGET

Wielce Szanownemu
Panu Genertowi Leonowi Berbeckiemu
z wytaraniem prawdziwego powołania
pozwala sobie ofiarować
dawną podkowienkę
Zofia Genertowa

Warszawa
14. IX. 1937.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
540 EAST 57TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S. DEPT. OF AGRICULTURE
BUREAU OF PLANT INDUSTRY
WASHINGTON, D.C. 20250

1951
11-11-51

95R
ZOFJA GERMANOWA

OD RARAŃCZY DO MARMAROS-SZIGET

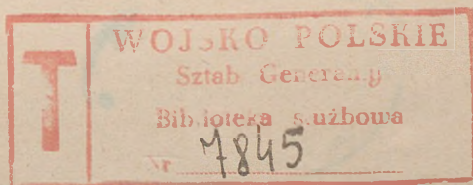
WSPOMNIENIA SANITARJUSZKI LEGJONÓW

WOJSKO POLSKIE

Sztab Generalny Oddz. II.

Biblioteka

Nr. 47

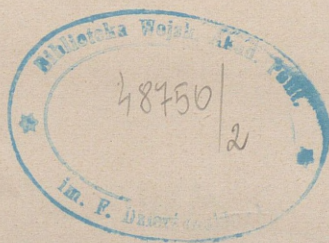


Inwentaryzacja
1954

Inwentaryzacja

NAKŁADEM „NASZEJ KSIĘGARNI”, SP. AKC.
ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO, WARSZAWA,
1936

355(92)



Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.

*Te wspomnienia dni podniosłych,
i pięknych, i tragicznych, któreśmy ra-
zem przeżyli, a teraz razem spisali, po-
święcam Tobie, memu najdroższemu
mężowi, ukochanemu przyjacielowi.*

Bez Ciebie nie byłoby tej książki.

Warszawa, maj 1936.

and other the children of
the old Republic and the
new Republic. The children
of the old Republic are the
children of the new Republic
and the children of the new
Republic are the children of the
old Republic.

8

PRZEDMOWA.

Autorka zwróciła się do mnie, żebym do tych Jej wspomnień z dawnych, ciężkich, ale mimo to naprawdę dobrych czasów napisał przedmowę. Komenderowałem autorką, gdy była sanitariuszką, potem pracowaliśmy razem w „Komitecie“ pomocy dla Legjonistów, uwięzionych w węgierskich obozach, dużo trosk i zgryzot ale też i rozruszeń najgłębszych razem się przeżyło — więc jakże tu odmówić? Komenderowałem „Siostrą Zofją“, teraz ona zakomenderowała.

Tylko, zacna Siostró, dzielny czelczku kochany, co tu w tej przedmowie napisać? Wystawić Ci świadectwo „dobrej i wiernej służby“? Ma Siostra trzykrotny Krzyż Walecznych i Krzyż Niepodległości, to już starczy za najlepsze świadectwo.

Myślę sobie w tym kłopotcie, że poprostu nada tu się może najrościsławiej krótkie przypomnienie zdarzeń poprzedzających ową datę, w historii Drugiej Brygady, kto wie czy nie najważniejszą, datę 15-go lutego 1918-go roku, od którego to dnia rozpoczyna Siostra swoje wspomnienia.

Przypomnijmy sobie...

Jakaż to była serdeczna „fajda“, gdy po trzech latach frontowej poniewierki „leguny“ przysły do Królestwa w zimie 1916-go roku, niby na odpoczynek, a według kombinacji „państwo centralnych“ na zapoczątkowanie wielkiej, sprzymierzonej z niemi polskiej armji.

Odpoczynek wśród swoich sumiennie się „legunom“ należał, potężnie namordowało się bractwo w Karpatach i na Polesiu, dużo mógł tam za nimi zostało. Cóż, kiedy z odpoczynkiem gorzej. Ale także gorzej z „centralnymi kombinacjami“. Ledwie się pułki na nowych leżach rozkwatowały, ledwie zima się skończyła, rozpoczął się „kryzys przysięgowy“.

Odmówili przysięgi na „braterstwo broni“ z wojskami Austrii i Niemiec prawie wszyscy „Królewacy“, z których przeważnie składała się Pierwsza Brygada. Za tę odmowę poszli do Szczypiorny i do Benjaminowa, pierśmi poszli na legjonową gehennę więzienną. Służący w Legjonach „poddani austriaccy“ (chciałoby się dzisiaj ten cudzysłów dziesięć razy ze zdziwieniem podkreślić!) nie byli wrywani do składania owej „sojuszniczej“ przysięgi, gdyż w roku 1914-tym musieli przysięgać według formuły austriackiego pospolitego ruszenia, uważano więc, że nie trzeba już dodatkowo zapewniać się o ich „braterstwie broni“.

Na posterunku, bardzo nierodzącym, bardzo gorzkim i boleśnie trudnym pozostała Druga Brygada i to dość poszczerbiona.

Zostawimy w Warszawie drobną garsteczkę „Królewaków“ jako „Polnische Wehrmacht“, za-

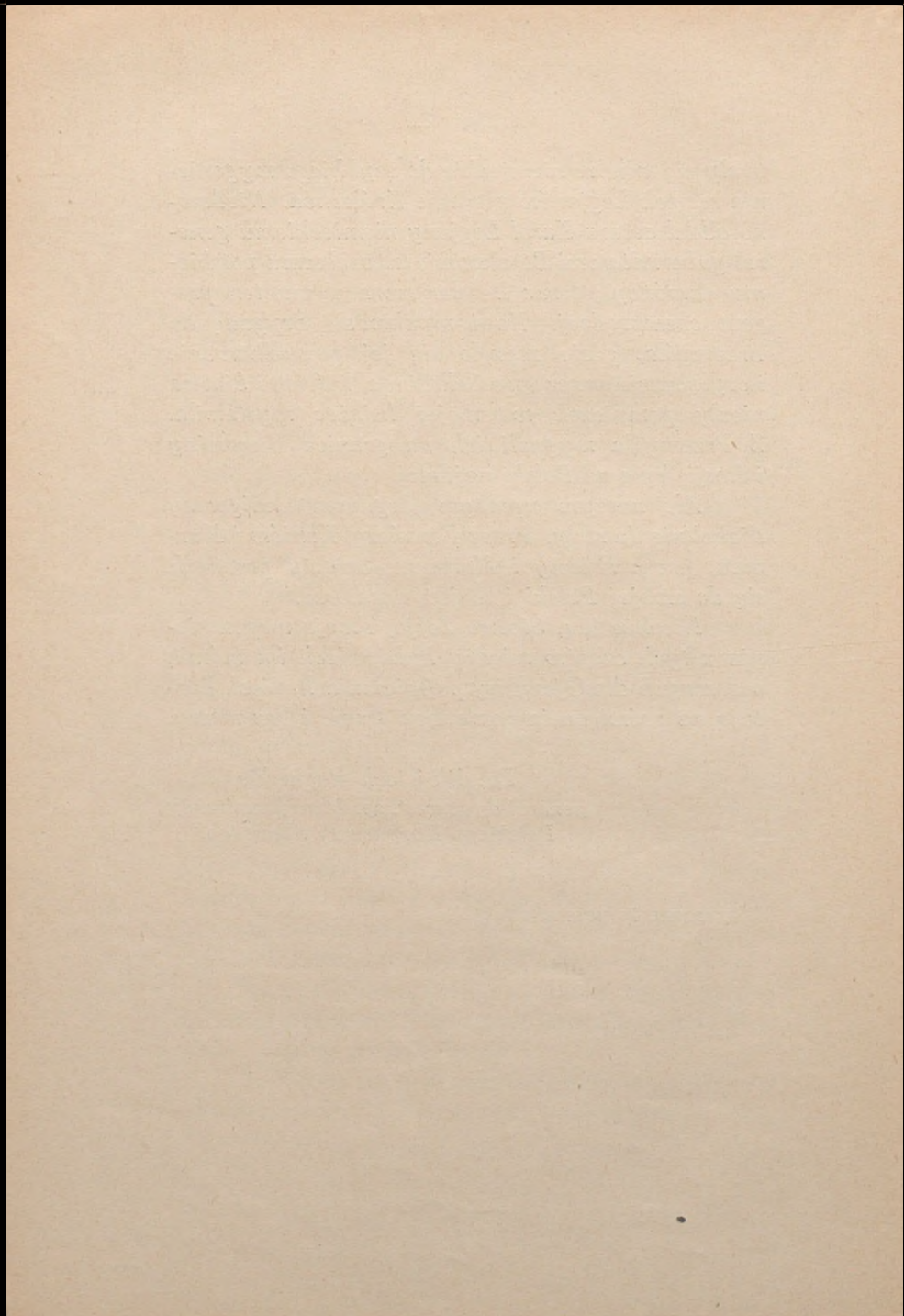
brały się rładze niemieckie do szybkiego mygonienia resztek Legjonów z granic Królestwa. Niedawno oddał cesarz Karol Legjony niemieckiemu generał-gubernatorowi Beselerowi, „naczelnemu polskiemu domódcy“, teraz Beseler zwracał mu ten prezent czempředzej. No i wpakowali Brygadę do Przemyśla, gdzie zaczęło się jej porządkowanie i czyszczenie przez tego Schillinga, któremu Siostra niezły pomniczek w swojej książce wystawiła. Z Przemyśla mygnali ich na granice Bukowiny i Rosji, byle od Polski najdalej.

Ale naszym upartym „legunom“ najgorszy djabeł nie da rady. Przez Rarańczę, Kaniów i Murman, przez Huszty i Marmaros-Szigety przedarli się do swojej Polski i to już nazawsze.

Niechże idą, Siostro Zofjo, Twoje wspomnienia z tych czasów między ludzi, niech im mówią o darnych dla Ojczyzny poświęceniach, niech hartują na poświęcenia nowe, bez granic i bez miary.

Dr. Wojciech Rogalski,
generał dyw. w st. sp., b. szef sanitarny
Polskiego Korpusu Posiłkowego.

Warszawa, 7 kwietnia 1936.



I.

Przejšcie Brygady.

W styczniu 1918 roku zostałam przydzielona do kolumny sanitarnej w Łużanach na Bukowinie.

Był to już czwarty rok mojej służby w Legjonach, które właśnie z końcem ubiegłego roku wskutek zarządzenia władz austriackich zostały przemianowane z Legjonów Polskich na Polski Korpus Posiłkowy.

Łużany, odległe o dwadzieścia parę kilometrów od Czerniowiec, były punktem centralnym, w którym zakwaterowała się Komenda Korpusu z powszechnie kochanym generałem Zygmuntem Zielińskim na czele, oraz oddziały i zakłady sztabowe. Parę kilometrów bliżej ku granicy we wsiach



Mamajowce i Nowe Mamajowce mieściły się 2-gi i 3-ci pułk piechoty Legionów, a w Kocmaniu — legjonowa artylerja.

W izbie chorych w Łużanach pełniłam służbę jako sanitariuszka wraz z dwiema koleżankami, Antoniną Krzymuską (obecnie żoną generała Kołłątaja-Srzednickiego) i Ludwiką Kossowską (obecnie Leonową Zarzycką). Ponieważ na froncie austriacko-rosyjskim było wówczas zawieszenie broni, i ze strony rosyjskiej front wogóle nie był w tych okolicach obsadzony, nie mieliśmy rannych, tylko chorych, roboty nie było tak dużo, jak w innych okresach naszej sanitarnej pracy legjonowej.

W tę — prawie etapową — ciszę spokojnej zimy wpadła jak grom wieść o Traktacie Brzeskim. We wszystkich oddziałach zawrzało. Każdy Legionista uczuł, że jest bezwzględna niemożliwością, aby Legjony Polskie pozostawały dalej w jakimkolwiek związku z Austrią, która je zdradziła. Odbywały się ustawiczne narady oficerskie. Nie wiedziałyśmy naturalnie, nad czem się naradzano, ale czułyśmy, że zbliża się chwila wielkiego czynu.

Gdy rankiem dnia 15-go lutego przyszedł do izby chorych, dr. Tatkowski, który zastępował chwilowo nieobecnego dowódcę kolumny sanitarnej dr. Korolewicz, polecił nam odesłać natychmiast wszystkich ciężko i obłożnie chorych do austriackiego szpitala w Czerniowcach, reszta zaś ma zaraz wracać do swoich oddziałów. Zapytałyśmy o powód tego nadzwyczajnego zarządzenia. Zawołał nas do kancelarji i powiedział:

— Dziś wieczorem wszystkie formacje Legjonów Polskich, znajdujące się na Bukowinie, przechodzą przez linię frontu, żeby połączyć się z Korpusem generała Dowbora Muśnickiego.

Powiedział nam dalej, że po wysłaniu chorych i spakowaniu materiału sanitarnego mamy zgłosić się po dokumenty podróży w Dowództwie i odjechać każda do swego domu. Najboleśniej dotknięte zapytałyśmy go wówczas, dlaczego po czteroletniej służbie w Legjonach nie dostąpiłyśmy tego, żeby być traktowane jak wszyscy żołnierze. Na to uściśnął nam ręce i powiedział:

— Chodźcie, Siostry, z nami.

Przestrzegł nas jednak, że narażamy się na bardzo wielkie trudy i poważne niebezpieczeństwa, i że to było powodem, dla którego Dowództwo chciało odesłać nas do domów.

Już teraz wspomnieć muszę, że organizacja wymarszu z Łużan zajmował się ówczesny kapitan-intendent, dziś generał brygady, dr. Roman Górecki, któremu w najzupełniejszym zaufaniu powierzyli tę misję wszyscy koledzy, i który był duszą i mózgiem całego tego przedsięwzięcia.

Wykonanie rozkazu dr. por. Tatkowskiego co do odesłania chorych do szpitala w Czerniowcach natrafiło na wielkie trudności. Chłopcy zaczęli najusilniej protestować i błagać, żeby ich, broń Boże, nie odsyłano do austriackiego szpitala, że bodaj ostatkiem sił się powłoką, żeby pójść z nami. Część przeznaczonych do transportu bez dalszych korowodów uciekła do swoich pułków, a tylko garstkę zupełnie bezsilnych i płaczących odwieziono do

Czerniowiec. Ciężko było patrzeć na ich rozpacz.

Wpadłam do swojej kwatery, żeby zapakować plecak i walizki. Ordynans przyjął mnie narzekaniem, że niepotrzebnie narąbał tyle suchego drzewa, — „bo przecież wieczorem przechodzimy wszyscy do Dowbora“. — Upomniałam go, żeby trzymał język za zębami, bo udanie się przemarszu w dużej części zależy od tajemnicy przed Austriakami, którzy nas ze wszystkich stron otaczają.

Jakieśmy się później dowiedziały, terminy wymarszu poszczególnych oddziałów ustalono w ten sposób, żeby o godzinie 12-ej w nocy przeszły razem przez linię okopów. Wymarsz kolumny sanitarnej był wyznaczony na godzinę 8-mą wieczorem.

Wszystko gotowe, rzeczy na trenach; o 7-ej zebraliśmy się w menaży na ostatnią kolację, lekarze, oficerowie sanitarni i sanitariuszki. Lampy już były zapakowane, paliły się tylko na stole dwie świece. Naszą zwykle wesołą jadalnię zalegało głucho milczenie. Każdy wiedział, że przed nim chwile niesłychanej doniosłości.

Przerwało tę ciszę wejście jednego z oficerów przydzielonych do Dowództwa. Wszedł blady, niezwykle wzruszony i przejęty. Drżącym głosem zaczął nam opowiadać o scenie, której był świadkiem.

Chodziło o tragedję generała Zielińskiego.

Generał, najlepszy Polak i wzór patriotyzmu, służył przez lat kilkadziesiąt w armji austriackiej i już jako emerytowany pułkownik tej armji wstąpił do Legjonów w roku 1914. Musiało się więc uznać w całej pełni i z największym szacunkiem

zrozumieć jego lojalność żołnierską, która nie pozwałała mu wyłamać się z przyjętych zobowiązań bez rozkazu władzy przełożonej. Do dziś dnia — w myśl przyjętych zobowiązań — Legjony walczyły przy boku Austrii, a władzą przełożoną była im Rada Regencyjna w dalekiej Warszawie. Wstrząśnięty do głębi, jak my wszyscy, hańbą Traktatu Brzeskiego, wysłał na pierwszą o nim wiadomość szefa sztabu majora Nieniewskiego do Warszawy, celem zasięgnięcia wskazówek i rozkazów od Regentów. Major Nieniewski nie wracał, zaś generał widział, że wrzenie w podwładnych mu oddziałach wzmacnia się z każdą godziną i że w tajemnicy przed nim czynią się narady i przygotowania.

A prztem był, jak rzadko który wódz, gorąco kochany przez oficerów i żołnierzy. Decyzję musiał się powziąć bez niego, lecz szacunek i miłość nakazywały prosić go, by nad zdecydowanymi objął dowództwo. Tej misji podjął się kapitan Roman Górecki.

Stał przed generałem — opowiadał nam ów oficer, obecny przy tej scenie — wyprężony, w postawie na baczność i głosem, łamiącym się ze wzruszenia, zameldował, że Polski Korpus Posiłkowy przechodzi dziś wieczór przez linię frontu, żeby połączyć się z wojskami polskimi po tamtej stronie granicy.

— Na czyj rozkaz? — spytał generał.

Formalnym rozkazem nie mógł się wylegitymować kapitan Górecki, bo działał jako pełnomocnik z rozkazu tysięcy polskich młodych serc, które w zgodnym, bratnim porywie odrzucały precz so-



jusz z przeniewierczą Austrią. Generał Zieliński oświadczył, że nie uznaje innych rozkazów, niż Rady Regencyjnej, i że w tych warunkach w marszu uczestniczyć nie będzie.

Co działo się w tej chwili w sercu tego starego żołnierza i doskonałego Polaka, jaką straszną walkę musiało toczyć to serce szlachetne, wiedział zarówno kapitan Górecki, jak i dwaj czy trzej obecni przy tem oficerowie. Wiedzieli również, że nie mogą go zostawić, opuszczonego przez żołnierzy, których kochał jak swoje dzieci. Tegoby nie przeżył.

Wtedy zdobył się kapitan Górecki na prawdziwe bohaterstwo. Blady jak trup, wciąż wyprężony na baczność, oświadczył głosem, który rwał się na strzępy:

— Melduję posłusznie, że pan generał pójdzie z nami pod przymusem wojskowym.

W drzwiach dworku stanęła warta, dwóch młodych chłopaczków z bagnetami na karabinach.

Kapitan Górecki, do głębi przejęty, odszedł, gdyż każda sekunda była droga. Wymarsz już się rozpoczął. W pokoju przyległym do kancelarji generała pozostał ów oficer, który nam tę scenę opowiadał, wraz z jednym kolegą. Generał Zieliński chodził wielkimi krokami po kancelarji, spojrzał swemi mazurskimi oczami na obu oficerów. Wyprostowali się w służbowej postawie.

— Nie salutujcie, panowie, — rzekł do nich generał — nie jestem już waszym przełożonym.

Stojąc na baczność, oficerowie płakali.

Zapytano go, z kim chce jechać.

— Ja tu już nie rządę, komenderujcie sobie sami.

Wsiadł z nim do samochodu szef sanitarny dr. Rogalski, zaś jako „eskorta“ towarzyszył im rotmistrz Okołowicz, z taką czcią odnoszący się do generała, jak do rodzzonego ojca.

Wzruszenia musiały ustąpić przed koniecznością szybkiego ubrania się w kożuski i stanięcia w szeregu.

Oddziały z Łużan wyruszyły. Słyszmy wszystkie trzy w naszej kolumnie sanitarnej. Mróz był trzaskający. Wydano rozkazy, żeby nie palić papierosów i maszerować w najkompletniejszym milczeniu. Po pewnym czasie kazano nam przyspieszyć marsz, gdyż zachodziła obawa, że nie zdążymy o wyznaczonej godzinie na punkt zborny. Szliśmy „podwójnym krokiem“, tak szybkim, że aż nam w uszach szumiało.

Było już około godziny wpół do jedenastej w nocy, gdyśmy usłyszeli dalekie strzały. Dotychczas nie wiedzieliśmy zupełnie, co się przed nami dzieje. Jasnym było, że rozpoczęła się bitwa.

Nie udało się utrzymać przemarszu w tajemnicy. Komendy austriackie dowiedziały się o naszych przygotowaniach już w południowych godzinach i nie uwierzyły w żadne „nocne ćwiczenia“, na które wyrusza się ze wszystkimi taborami i z wszystkim pomocniczym sprzętem wojskowym. Zawiniło tu także coś niecoś nieuniknione gadulstwo naszych młodziutkich żołnierzyków, rozkwaterowanych wśród cywilnej ludności.

Już od południa ścigali Austrjacy z wszystkich stron swoje siły przeciw Legjonom, obecnie już „buntownikom i zdrajcom stanu“. Siły te — jak dowiedzieliśmy się później — kilkakrotnie przewyższały stan bojowy naszych oddziałów.

Te strzały, które teraz dalekiem echem do nas dobiegły, rozlegały się już przy granicznych okopach pod Rarańczą. Walczyły tam z Austrjakami bataljony 2-go i 3-go pułku piechoty legjonowej pod dowództwem brygadjera Józefa Hallera.

Szłam szybko, z coraz większym trudem, bo przeszkadzało mi drżenie, którego opanować nie mogłam. Nie była to obawa, bo przecież te dalekie salwy karabinowe, potem i armatnie, nam jeszcze niczem grozić nie mogły, ale drżałam o tych wszystkich naszych chłopców, których los — wolnych polskich żołnierzy — w tej chwili się rozgrywał.

W jakieś pół godziny później dochodziliśmy do wsi Żuczka, kilka kilometrów przed Czerniowcami. Szosę przecinał tu tor kolejowy. Nasz pochód nagle się zatrzymał, bo na torze ukazał się niespodziewanie austriacki pociąg pancerny, zamykając nam drogę i pozbawiając nas łączności z oddziałami, które maszerowały przed nami. Cicha komenda, i garść żołnierzy z kompanji sztabowej oraz sanitariuszy zaatakowała pociąg pancerny, wspinając się na lokomotywę i rzucając ręczne granaty. Zaterkotały karabiny maszynowe z pociągu i oświecił nas jaskrawy blask reflektoru. Porucznik Marek z kompanji sztabowej zakomenderował: „Padnij“! Nie ustawał ogień kulomiotów z pancerki, nasi odpowiadali tylko ze zwykłych karabinów, bośmy

tutaj innej broni nie mieli. Z ust do ust podawano rozkaz porucznika Marka:

— Zbierać się grupami na prawo od szosy i szybko zdążać w kierunku Rarańczy.

Raptem usłyszałam w bliskości głos mojego męża, który ten rozkaz powtarzał najbliższym żołnierzom. (Był wtedy podporucznikiem przydzielonym do Dowództwa Korpusu). Co chwila chwytaly nas blaski reflektorów i odsłaniały salwom karabinów maszynowych. Uczułam w pewnym momencie, że ktoś z całej siły przyciska mi głowę do ziemi, pokrytej zmarzłym śniegiem, jakby pragnąc jaknajgłębiej schować mnie przed kulami. To był mój mąż, który właśnie wtedy znalazł się przy mnie.

Drżałam, gdym przed godziną słyszała dalekie strzały. Teraz ani śladu tych drzeń, chociaż niebezpieczeństwo było najoczywistsze i najbliższe. Może w tej chwili nie zdawałam sobie z niego sprawy. Groza sytuacji ustępowała przed jednym wielkim pragnieniem: dojść na czas do Rarańczy.

Cieszyłam się, że mam w kieszeni rewolwer, który mi przed samym wymarszem wręczył nasz serdeczny przyjaciel, rotmistrz Norbert Okołowicz, szef żandarmerji legionowej.

— Weź go, może ci się przyda.

W ciemności dostałam się do naszego małego oddziałku, który prowadził por. Marek. Maszerowaliśmy z pięć, sześć godzin, kołując i błędząc, szukając wciąż najbliższej drogi do Rarańczy, przekradając się przez rowy i pola, wciąż oświetlane rakietami. Bardzo często wykrywały nas te ściga-

jące światła i sprowadzały na nas nieuchronnie ogień austriackich karabinów. Padaliśmy na ziemię, zrywaliśmy się, gdy tylko mrok nas schował, biegliśmy, by nadrobić czas stracony i jak najprędzej dojść do naszych oddziałów w upragnionej, utęsknionej Rarańczy. Ciągłe i ciągłe jakaś nowa przeszkoda: to psy we wsi zbudzą się od brzęku menażki żołnierskiej, to potok nawpół zamarznięty, że trzeba było wpław go przechodzić, to znowu kładki wązkie i wysoko nad wodą...

Przedzieraliśmy się dalej, już bardzo znużeni, cierpiąc od ostrego mrozu.

Okolo godziny piątej nad ranem, w nocy zupełnie jeszcze ciemnej, doszliśmy nareszcie do jakichś okopów. Były to niestety okopy obsadzone przez Chorwatów. Zostaliśmy w jednej chwili ze wszystkich stron otoczeni, a ponieważ Legjoniści nie mieli już wcale nabojęw, musieliśmy się poddać. Musieliśmy... W jednym słowie tragedia roztrzaskanych, zniweczonych nadziei... Mimo że na rozkaz por. Marka wszyscy nasi rzucili broń na ziemię, Austriacy dali jeszcze salwę do bezbronných.

Było to jakieś dwa kilometry od Rarańczy we wsi Mahala. Gdybyśmy tu przyszli kilka godzin wcześniej...

Zaprowadzono nas do wielkiej stodoły czy chałupy, gdzie zastaliśmy kilkunastu naszych oficerów, wziętych do niewoli. Ujrzałam wśród nich naszego drogiego generała Zielińskiego, rotmistrza Okołowicza, kapitana Pomazańskiego, mojego męża i wielu innych. Więc i ci nie przeszli? Kto

przeszedł? Jakie oddziały? Te pytania dręczyły i męczyły.

Był już jasny dzień, słyszeliśmy wciąż huk armat. Austriacy opowiadali nam z triumfem, że to giną resztki oddziałów Hallera, wpędzone ogniem armatnim w pułapkę jak zające do kotła. O ówczesnej naszej rozpaczcy trudno pisać. Te „austriackie gadania“ były najohydniejszym kłamstwem. Po paru dniach — a były to dni najcięższe — odetchnęliśmy z radością, gdy doszły nas wieści, że 2-gi i 3-ci pułk piechoty Legjonów przedarły się prawie bez strat, zostawiwszy Austriakom tylko swoje tabory.

Z Mahali przewieziono nas wagonami towarowymi do Żuczki. Tam trzymano nas szereg godzin na mrozie i zgromadzano wszystkich naszych oficerów i żołnierzy, wziętych do niewoli w różnych miejscach wielkiego pola bitwy. Byliśmy świadkami, jak węgierscy honwedzi na rozkaz austriackich generałów rabowali nasze treny, rozbijając kuferki i grabiąc, co im wpadło pod rękę. Wzdłuż szosy stały się na śniegu stosy listów, papierów, bielizny i najrozmaitszego dobytku. Wszystko co cenniejsze stało się zdobyczą honwedów, jako „łup wojenny“ przeznaczony im „za zwycięstwo“. Nasi żołnierze, którzy nosili swoje dobro w plecakach, byli w położeniu o wiele szczęśliwszem, niż oficerowie, którzy postradali wszystko i nie mieli nawet chustki do nosa, ani skarpetek do zmiany.

Moim majątkiem było tylko to, co miałam w kieszeniach kożuska. Na szczęście znalazł się tam kawałek mydła, włożony do kieszeni w ostatniej chwili przed wyjściem z chaty w Łużanach.

To mydło musiało wystarczyć przez szereg dni nie tylko dla mnie, ale i dla koła bliższych kolegów. Miałam jeszcze chlebak żołnierski, który mi służył jako torba sanitarna. Dzięki temu mogłam przy pierwszym dłuższym postoju opatrzyć pokaleczonych od marszu.

W popołudniowych godzinach otoczyły nas austriackie kompanje szturmowe i kazano nam iść w niewiadomym narazie kierunku. Szliśmy, uformowani w czwórki, oficerowie i my trzy sanitariuszki naprzędzie, za nami brać żołnierska. Wygląd otaczającej nas straży miał widocznie na celu zastraszenie wziętych do niewoli „zbuntowanych polskich Legionistów“. Hełmy bojowe, za pas zatknięte ręczne granaty, karabiny w pogotowiu, miny wściekle i groźne, — można było przypuścić, że wiodą nas na stracenie... Że to Legionistów i w najgorszej sytuacji humor nigdy nie zawodzi, zaczęły się szepty pół-żartem a trochę i pół-serjo, że pewnie prowadzą nas na „miejsce zbrodni“, gdzie bunt wybuchnął, i tam rozstrzelają wszystkich oficerów i co dziesiątego żołnierza. Krzyżowały się fragmenty djałów: — „Nie pchaj się na mnie, i tak za godzinę podziurawią cię jak rzeszoto“. — „Wódki tobym się napił na ten mróz i wogóle przed śmiercią...“ — „Żeby te dziady umiały przynajmniej dobrze strzelać...“ Może wziął te dość ponure żarty poważnie jeden i drugi, zmęczony, zgnębiony, od dwudziestu czterech godzin w największym napięciu nerwowym, na głodno, nawet bez papierosów... Tembardziej, żeśmy

się wnet zorientowali, że prowadzą nas szosą ku Mamajowcom.

Ten marsz chowam w najsmutniejszej pamięci. Wracaliśmy tą samą drogą, którą wyruszyliśmy wczoraj prawie o tej samej porze, pełni entuzjazmu i nadziei. Wracaliśmy jako oddział więźniów i rozbitków, niepewnych jutra.

Bolesna ta droga dłużyła się nam bez końca. Wszystkich ogarniało coraz większe znużenie, coraz bardziej dokuczały zmarznięte nogi i skostniałe ręce, oraz uczucie nieznosnego pragnienia.

Późnym wieczorem doszliśmy do Mamajowiec. Zatrzymano nas przed małym budynkiem szkolnym. Tam w trzech pokojach (dwa na dole i jeden na górze) umieszczono mniej więcej osiemdziesięciu oficerów i nas trzy sanitariuszki. Wszyscy odrazu pokładli się pokotem na podłodze.

Paruset naszych żołnierzy zakwaterowano w pobliskich barakach.

Tu się rozpoczął pierwszy etap naszych przepraw więziennych.

II.

Pierwsze więzienie.

Ranek 17-go lutego zastał nas połamanych z koczowania na podłodze, niewyspanych, nieumytych, a przede wszystkim głodnych, bo to już rozpoczynał się drugi dzień prawie kompletnego postu. Oczywiście, że my trzy poczuwałyśmy się do obowiązku postarania się o jakąś żywność. Zwróciłam się o to do dowódcy warty, który odesłał Wisię, Tosię i mnie pod eskortą dwóch żołnierzy z bagnietami na karabinach do komendanta tego prowizorycznego obozu.

Zastałyśmy starszego jegomościa w mundurze, zdaje się, pułkownika, smacznie zającącego śniadanie, przy stole nakrytym białym obrusem, i popijającego czerwone wino z pełnej karafki. Na naszą prośbę o zaprowiantowanie uwięzionych odpowiedział drwinami i kpinami: bardzo żałuje, że wcześniej nie został zawiadomiony o naszym przemarszu, bo przygotowałby wykwinne przyjęcie. Po dosyć ostrej wymianie słów zgodził się ostatecznie, żebyśmy pod wartą porobiły we wsi zakupy. Ludność wiejska była wystraszona i wobec nas bardzo niechętna. To też z wiel-

kim trudem udało się nam kupić trochę jaj, smalcu, soli i małą świnię, którą kazałyśmy nieść na plecach eskortującemu nas żołnierzowi. Tenże wartownik musiał potem użyć nam swego groźnego bagnetu jako narzędzia dla rozćwiartowania świnki. Ponieważ nie było żadnych naczyń kuchennych, więc poszłyśmy na strych po-



Trzy „Siostry” w kuchni.

szukać w rupieciach, czy czegoś tam nie znajdziemy. Znalazłyśmy trzy stare zardzewiałe miednice, które musiały nam służyć jako naczynia kuchenne i talerze. Łyżkę do mieszania wystrugał nam któryś z kolegów z nogi od stołu. Partjami do wieczora wszyscy jeść dostali. Tegoż dnia po południu zjawił się między nami — naturalnie

pod strażą — doktor Korolewicz, szef naszej kolumny sanitarnej.

W trzech ciasnych pokoikach nie ustawał gwar rozmów. Zastanawialiśmy się także i nad tem, co stało się z naszą artylerją, która miała najdalszą drogę na punkt zborny i w której najbliższem sąsiedztwie zakwaterowane były austriackie oddziały. Wiedzieliśmy, że mimo to wymaszerowała, idąc poniekąd zgóry na pozycję straconą, lecz okazując niezłomną solidarność ze wszystkimi innemi oddziałami Legjonów.

Aż tu nagle pod wieczór wchodzą nasi kochani artylerzyści. Odrazu zrobiło się rażniej i prawie wesoło. Po bratersku podzielili się z nami tem, co przy sobie mieli. (Ich bagaże wyjątkowo nie padły ofiarą grabieży). Oddali nam konserwy, czekoladę, tytoń i świece.

Major Zagórski, dowódca pułku artylerji, przebywał w naszym gronie zaledwie pół godziny. Dał Wisi puszkę z konserwą do zagrzania, lecz zanim była gorąca, zabrali go na przesłuchanie i już potem do nas nie wrócił.

Tego samego wieczora zabrano od nas serdecznie kochanego przez całą naszą gromadę kapitana Góreckiego, którego władze austriackie uważały za najgroźniejszego przestępcę i głównego winowajcę „zdrady stanu“.

Zdążył jeszcze Górecki dać wszystkim krótkie instrukcje jak mają zeznawać w śledztwie, bo już nie ulegało wątpliwości, że w każdym razie oficerowie będą postawieni przed sąd wojenny. „Koledzy“ — mówił — „bądźcie odważni w słowach,

jak byliście odważni w czynie. Mówcie dumnie prawdę, bez względu na odpowiedzialność osobistą i konsekwencje“.

Znowu noc na gołych deskach. Zimno trochę mniej dokuczało, bo poczciwi artylerzyści mieli koce, którymi dzielili się z kolegami (na czterech jeden koc wypadał). Odpoczynek był jednak niewielki, bo kilkakrotnie w nocy budziły wszystkich austriackie warty, kontrolując liczbę jeńców i bez ceremonji stąpając po leżących w niesłychanej ciasnocie. (Nazwaliśmy to „liczeniem trupów“).

Nazajutrz poszliśmy znów w trójkę po sprawunki do wsi, rozumie się pod zbrojną eskortą. W jednej chacie, gdzie kupowałyśmy chleb, szepnęła mi jakaś miła i życzliwa kobieta — istny to wyjątek pośród wszystkich nieprzychylnych — że u sąsiadów zamknięty jest od wczoraj i ściśle pilnowany wyższy nasz oficer. Udało mi się dotrzeć do niego, zanim spostrzegła się straż, nie grzesząca zbytnią bystrością. Był to major Zagórski. Ucieszył się, że za mojem pośrednictwem może pożegnać się z wszystkimi kolegami. Powiedział mi, zupełnie opanowany i spokojny, że prawdopodobnie idzie pod sąd doraźny.

Zdawali sobie sprawę artylerzyści, że ich dowódca w groźnem jest niebezpieczeństwie. Były oficer austriackiego sztabu generalnego naraził się z pełną świadomością na najcięższą odpowiedzialność, biorąc udział w „buncie“ Legjonów przeciw wojskom cesarskim i kto jak kto, ale on, wzięty do niewoli ze swoim pułkiem w bezna-

dziejnym przemarszu, nie mógł się spodziewać, że Austriacy względnie się z nim obejdą.

Ciężki smutek ogarnął uwieczonych oficerów, gdy z tą wiadomością wróciłam. Stało wszystkim w oczach widmo szubienicy czy też plutonu egzekucyjnego... I żeby przynajmniej rozstrzelali, a nie powiesili! W każdym sercu groza i obawa... A największą troską wszystkich — nasz drogi Romek Górecki... Kogóż nowego teraz zabiorą? Szarpała i dręczyła niepewność każdej nadchodzącej godziny.

Ukazanie się komendanta warty lub jakiegokolwiek innego oficera austriackiego budziło we mnie niesłychany niepokój i bezgraniczną troskę.

Łączyły mnie przecież z większością tych więźni-oficerów kilkoletnie wspólne legjonowe przeżycia, chwile radosne i ciężkie, chwile entuzjasmów i zawodów. Łączyły i bardzo zbliżyły. Tak, naprawdę, czułam się pośród nich jak w najbliższej rodzinie.

Serdecznie wdzięczna za przyjaźń, jaką mnie obdarzali, ceniłam ich także i za tę delikatność, pełną prawdziwej rycerskości, z jaką zawsze odnosili się do mnie i do moich kochanych koleżanek. Drobną przykłąd... W trzech pokojach teraz już przeszło stu mężczyzn i trzy kobiety. Nie padnie w naszej obecności żadne słowo grubsze i ordynarne, żaden żart dwuznaczny. Niech tylko któryś zapędzi się w słowne śmiałości, zaraz zgromi go chóralny okrzyk: „Wersal, panowie! Siostry są z nami!“

Teraz dalej: Wieczorem chcemy się umyć po całym dniu przy kopającej kuchni, oficerowie zasłaniają troskliwie okna płaszcami, żeby warty austriackie przypadkiem nie podglądały. Wspominamy o naszej biedzie, że przepadły nam wszystkie rzeczy, że bez frazesów „jesteśmy w jednej koszuli”. Artylerzyści, jedyni bogacze wśród całego oficerstwa, nieśmiało ofiarują swoją bieliznę. Ze wzruszeniem i ze śmiechem przyjęliśmy tę braterską ofiarę. Potem przez kilka tygodni nosiliśmy pod mundurami sanitarjuszek męskie koszule i męskie „ineksprimable”. A zacny doktor Kończacki, pułkowy lekarz artylerji, podarował każdej po parze długich pończoch.

Dnia 19-go lutego zbudzono nas wcześniej, nie pozwolono nawet gotować śniadania, ponieważ zaraz mamy ruszyć transportem w dalszą drogę. Austriackim obyczajem pomimo tych pośpiechów marudzono i trzymano nas, ustawionych w szeregi, kilka godzin, zanim wreszcie rozpoczął się pochód w stronę Łużan.

W Łużanach wyłączono z naszej gromady, maszerującej przy kilkunastostopniowym mrozie, rotmistrza Okołowicza (chorego i w gorączce) i jako widocznie bardzo „obciążonego” wzięto go pod osobną straż i zaprowadzono na jakieś wyjątkowe przesłuchanie. Do naszej troski o kilku osobno zamkniętych kolegów przybyła troska nowa.

Na stacyjce kolejowej w Łużanach zgromadzili się tłumnie mieszkańcy tej wsi, w której po-

przednio część naszych oddziałów kwaterowała przez szereg tygodni. Wielu z nas spotkało tu swoich dobrych znajomych. Podnieść trzeba, że prawie każda gospodyni, zobaczywszy swoich poprzednich lokatorów, podchodziła z zapytaniem, coby im przynieść na drogę. Odpychane przez wartowników powracały z prowiantami. I do mnie zbliżyła się pocziwa baba, u której mieszkaliśmy z mężem, żałując nas i chcąc koniecznie czemś się przysłużyć. Poprosiłam ją, by spróbowała kupić w sklepiku dwie szczoteczki do zębów. Zwinęła się i po chwili przybiegła, przynosząc owe szczoteczki i już z własnej ochoty butelkę białej kawy i szklankę. Nie chciała za to przyjmując żadnej zapłaty.

Pierwszym transportem wyjechało około pięćdziesięciu oficerów, uczestników bitwy pod Rarańczą, z wyłączeniem trzech wyżej wymienionych, których los był nam zupełnie nieznany. Oprócz tego kilkuset żołnierzy i my trzy sanitariuszki.

Niestety, niedługo cieszyliśmy się wspólną podróżą z Legionistami.

Już po paru godzinach, gdy pociąg stanął w Kołomyi, komendant transportu kazał nam wysiąść z wagonu, oświadczając, że zatrzymuje nas tutaj na rozkaz wyższych władz wojskowych. Zaczęliśmy protestować z wszelkich sił i nie zważając na wartość podbiegaliśmy do okna, w którym stał nasz szef, kapitan Korolewicz. „Kapitanie, chcą nas z wami rozłączyć, ratujcie!” Energiczna interwencja doktora Korolewicza nic nie pomo-

gła. Podsunięto mu do oczu depeszę austriackiej komendy z zarządzeniem, że trzy legionowe sanitariuszki mają pozostać w Kołomyi, celem przesłuchania w sądzie polowym VII-ej armji.

Z wagonów podawano nam na gwałt kreśłone na karteczkach i biletach wizytowych adresy rodzin więźniów. „Zapewne będziecie po przesłuchaniu zwolnione, napiszcie zaraz do wszystkich, że jeszcze żyjemy, humoru nie tracimy i żeby się o nas zanadto nie bali...”

Pociąg ruszał.

Kapitan Korolewicz zawołał: „Panowie, Siostrom cześć!” Trzykrotnie powtórzyli ten okrzyk oficerowie i żołnierze.

Odjechali nasi koledzy, przyjaciele, mąż mój... Zostałyśmy same. Miałyśmy oczy pełne łez.

Pod eskortą sześciu austriackich bagnetów prowadzono nas do sądu bocznemi uliczkami, żeby nas nie widziały tłumy, zebrane wokoło dworca, wstrząśnięte do głębi wieścią o zbrojnym czynie Legionów.

Przewidywałam, że nas zaraz rozdziela, i jako najstarsza, wychowana pod rosyjskim zaborem, dawałam towarzyszkom wskazówki, jak mają zeznawać: nie podawać żadnych nazwisk, nie podpisywać protokołu bez przeczytania...

Rzeczywiście rozłączono nas i każdą przesłuchiowano oddzielnie. Mnie przesłuchiwał Rusin, późniejszy prokurator wojskowy w procesie w Marmaros-Sziget, kapitan-audytor Ustjanowicz, który, bardzo zręcznie zadając pytania, chciał się koniecznie dowiedzieć, kto dawał rozkazy i od ko-

go wyszła inicjatywa wymarszu. Myślał, że od kobiet łatwiej wyciągnie ważne dla sądu szczegóły... Zwracał mi uwagę, że jestem podsądna i oskarżona i że zeznania moje bardzo mnie obciążają. Zapytywał, czem mogę usprawiedliwić swój udział w przestępstwie wojskowym. — „Niczem. Służę od czterech lat w Legjonach, szłam zawsze z nimi, wzięłam udział w ich proteście przeciw zdradzie, którą Austria popełniła wobec Polski“. Ziecierpliwiony, że nie chciałam powiedzieć, kto organizował ten „bunt“, kogo widziałam podczas tej pamiętnej nocy, kto nam, sanitariuszkom, wydał rozkaz i podał godzinę zbiórki, — powiedział: „Cztery lata jest pani w Legjonach i nie pani nie wie, nikogo pani nie zna?!“

Koleżanki moje zeznawały podobnie. Jedno tylko nazwisko padło z ust Tołki: austriackiego generała Schillinga. Opowiedziała sędziom z poważną miną, że w jej obecności chłopcy z taborów aresztowali „tę ekscelencję“, która na początku bitwy w powszechnym zamieszaniu przybliżyła się swym samochodem do naszych trenów.

(Ten właśnie generał Schilling był później komendantem wszystkich obozów więziennych na Węgrzech i przez długi szereg miesięcy znęcał się nad naszymi oficerami i żołnierzami. Jako świadek w procesie w Marmaros-Sziget wyzwał z oburzeniem, że wtedy, pod Żuczka, Legjoniści kazali mu paść plackiem na ziemię i tytułowali go „starym osłem“).

Po przesłuchaniu zawiadomił nas naczelną audytor sądu polowego, major Hannel, że będzie-

my zatrzymane w Kołomyi do dyspozycji tego sądu. W przystępie rozpaczyl użyłam tu podstępul, zaślagowałam mu, że komendant I-go transportu, zostawiając nas tutaj, obiecał wyraźnie, że będziemy po przesłuchaniu odstawiłone na Węgry (było to absolutną nieprawdą, nigdy nam nic takiego nie obiecywał), że urzędowo należymy do 1-go transportu uwięzionych Legjonistów, że musimy koniecznie być razem z nimi, że będziemy im gotować, prać, sprzątać, pielęgnować chorych, bo przecież od tego jesteśmy. Udało się. Uwierzył.

Widocznie zdobyłyśmy naszym zachowaniem trochę respektu u starych sędownikówl a trochę sympatji u młodych, gdyż najpierw odesłano nas na stację pod eskortą, ale bez bagnetówl, a potem zjawili się tam młodszi oficerowie sądowni, przynieśli w termosach gorącą herbatę, flaszke wina, chleb i sardynki, a nawet papierosy. Nie chciałyśmy nic od nich przyjąć, tłumacząc się grzecznie, że nasza sytuacja na to nie pozwala. Pobili nas w końcu argumentem, że to tylko uprzejmość oficerówl dla polskich dam. Przez cały dzień następny żywiłyśmy się temi zapasami. Tośka, młoda urocza blondyneczka, która mimo najcięższych tarapatówl więziennych nigdy nie zapomniała zakręcić loczków na papierki, potrąsając temi loczkami, kokietowała z wielkiem powodzeniem wszystkich młodych panówl sądowników. Z żalem się z nami pożegnali, gdyśmy wyjechały o wpół do jedenastej w nocy już nie drugim lecz trzecim transportem uwięzionych.

Zawagonowano nas do III-ej klasy. Raptem

słyszemy w sąsiednim przedziale znajome głosy. Zaglądamy tam i ku naszemu najradośniejszemu zdziwieniu widzimy rotmistrza Okołowicza, księdza kapelana Łuszczkiego i porucznika Bolda z artylerji. Oficer austriacki, komenderujący



Rotmistrz Norbert Okołowicz.

naszym transportem, zapowiedział surowo, że nie wolno pod żadnym warunkiem z nimi się komunikować. Byliśmy ostrożne przez noc, żeby uspić jego czujność, ale w ciągu następnego dnia łamałyśmy wiele razy surowy zakaz „władzy“ i przekupiliśmy wartę, żeby nas zawsze na czas

uwiadomiła, gdy ta sroga „władza“ w bliskości się ukaże.

Opowiadał mi Okołowicz, że go w Łużanach wcale nie przesłuchiowano, gdyż kategorycz-



Kapitan Jan Maciej Bold.

nie odmówił wszelkich zeznań. Jako oficer naszej żandarmerji był specjalnie Austriakom podejrzany. Męczyła go teraz silna gorączka (oka-

zało się potem, że miał zapalenie nerek), leżał na twardej ławce wagonu bardzo cierpiący. Chory, jadący do więzienia, w dodatku jeszcze niepokoił się o żonę, która wkrótce spodziewała się dziecka. Pisałam do niej z Kołomyi, jak też do wielu innych żon, sióstr i matek, wykonując dane mi polecenia (Listy te i kartki obiecali mi wysłać bez cenzury owi młodzi austriaccy sędownicy i obietnicy tej dotrzymali).

Od porucznika Bolda dowiedziałyśmy się, że Góreckiego i Zagórskiego Austriacy chcą koniecznie skazać sądem doraźnym. Ma to się odbyć w Kołomyi w komendzie VII-ej armji. Chcieli obaj pożegnać się z wszystkimi, nawet im na to pozwolono, lecz już nas w Mamajowcach nie zastali. Polecili więc Boldowi, żeby wszystkich kolegów — a także i nas, trzy Siostry, — najserdeczniej od nich pozdrowił — i pożegnał. Jakże strasznie ciężko nam było, gdyśmy to usłyszały...

Dopiero w parę tygodni później w obozie w Bustya-Haza przyszły do nas konspiracyjną drogą wieści, że Zagórski i Górecki są internowani w Huszcie (Hust) wraz z setką innych oficerów. Odetchnęłyśmy i dziękowały Bogu.

Jednak uniknęli sądu doraźnego, bo politycy polscy, znajdujący się w Wiedniu, użyli wszystkich wpływów, poruszyli wszystkie sprężyny i uzyskali od cesarza Karola rozkaz do komendy VII-ej armji, żeby wstrzymać natychmiastowe egzekucje „buntowników“. Groza tej egzekucji wisiała nad nimi przez dwa dni. Przez całą dwa dni oczekiwali każdej godziny, że zapro-

wadzą ich na śmierć. Opowiadał nam później w Huszcie kapitan Górecki o tych chwilach i miałyśmy najwyższy podziw dla hartu i niezłomności, jakie okazał w tym przełomowym momencie, zawieszony między życiem a śmiercią.

Dnia tego, piątego naszej niewoli (20-ty luty), zajechaliśmy do Bustya-Haza, myśląc, że to Huszt, bo mówiono nam, że tam jedziemy. Trzymali nas do północy na stacji, bo, zdaje się, nie bardzo wiedzieli, co z nami zrobić. Wreszcie zabrała nas ze stacji kolejowej wcale znaczna eskorta, bo aż trzech oficerów i trzech żołnierzy z „widelcami“ (tak nazywałyśmy bagnety na karabinach), i przez godzinę oprowadzała nas po Bustya-Haza, szukając jakiejś kwatery dla „polskich sanitariuszek“. Ostatecznie umieszczono nas w małej izbie w żydowskim zajeździe. Było tam dla nas trzech jedno straszne łóżko i maleńka kanapka. Nazajutrz, zmarznięte i niewyspane poszłyśmy pod strażą do komendanta stacji i prosiłyśmy go, żeby koniecznie odesłał nas do Husztu, gdzie jest internowana nasza kolumna sanitarna. Chcąc pozbyć się kłopotu z głowy, wysłał nas tam po obiedzie pod strażą trzech „widelców“ i oficera. Na stacji w Huszcie wsadzono każdą z nas do osobnego pojazdu i zawieziono do komendy obozu. Tu znowu nie wiadano, co z nami począć, telefonowano na wszystkie strony, wreszcie oświadczone nam zrozpaczonym, że jest rozkaz z armji, abyśmy wracały do Bustya-Haza. Próbowaliśmy oponować przeciw temu odsyłaniu nas od Annasza do Kaifasza, ale bezskutecznie. Po-

nieważ pociągu już nie było, musieli nas w Huszcie przenocować. Przygotowano nam nocleg w pustym sklepie, gdzie było okropnie zimno, ale przynajmniej porządnie i czysto. Po tygodniu spałyśmy pierwszy raz na łózkach z prześcieradłami, kocami i poduszkami. (Potem przez cały czas pobytu w Bustya-Haza poduszki i prześcieradła były dla nas niedoścignionym ideałem). Zasunięto najszczelniej żaluzje sklepu i byłyśmy zupełnie zamknięte, a dwa „widelce“ całą noc nas pilnowały. Rano przysłali nam herbatę i bułki. Bardzo się to przydało, bo zmarzłyśmy w sposób niesłychany. Prosiłam o pozwolenie widzenia się z mężem, który był tu uwięziony. Odmówiono mi rzekomo dlatego, że jeszcze nie przyjechali audytorzy, a widzieć się z nim mogłabym tylko w urzędowej obecności audytora.

O 10-ej rano (22-gi luty) opuściłyśmy Huszt, wciąż jako aresztantki, wszystkie trzy, a szczególnie ja, nadzwyczaj przygnębione i smutne. Zostawiałyśmy tutaj najbliższych przyjaciół i kolegów na los niewiadomy, a ja męża, o którym od rozstania w Kołomyi nie miałam żadnych wiadomości.

III.

Bustya-Haza.

Bustya-Haza... Monotonne, rozpaczliwe, bezna-
dziejnie rozpaczliwe tygodnie... Z okna małego po-
koiku w żydowskim zajeździe widok na płaskie,
ośnieżone wzgórza, wśród których rozrzuciły się
szeroko chałupy słowackiej wsi... I prawie przez
cały dzień siedziałyśmy przy tem oknie a właści-
wie drzwiach z szybą u góry, przed którymi dyżu-
rowało stale dwóch wartowników.

Drugie drzwi, też oszklone, ale najszczel-
niej oblepione papierem i stale zamknięte na
klucz, wiodły do szynkowej izby, w której od ra-
na do późnej nocy rozlegały się hałasy i wrzaski.
Często dobijali się do tych drzwi pijacy, i warta
musiała nieraz interwenjować.

Jednak i w najgorszym można się dopatrzeć
czegoś dobrego. To najbliższe sąsiedztwo szyn-
kowni było dla nas w owych dniach jedynym
łącznikiem ze światem. Wówczas bowiem zaczęli
zjeżdżać się do Husztu, a stamtąd do innych obo-
zów krewni internowanych Legjonistów, niespo-
kojni o ich losy, wskutek najbardziej alarmują-
cych wieści, krążących po kraju. Mogłyśmy więc,

usłyszawszy polską mowę, przez drzwi lub w czasie spaceru przedstawić się rodakom, jako uwięzione Polki i uzyskać garść wiadomości, których byliśmy spragnione najgoręcej.

Ten spacer ograniczał się do chodzenia między jedenastą a dwunastą w południe po ganku wzdłuż karczmy. Wnet i tego nam zakazano, ponieważ trzy młode kobiety w mundurach legjonowych, pilnowane przez uzbrojoną straż, budziły sensację wśród przechodzących szosą wieśniaków, kolejarzy i przejezdnych. Ścieśniono zatem nasze przechadzki i co do czasu i co do miejsca. Dozwolono nam spacerować najwyżej pół godziny po najodludniejszej stronie zajazdu.

Żywiono nas stosunkowo nieźle, przysyłano wikt z austriackiej menaży oficerskiej, ale dostawałyśmy wszystko zimne. Czasem jakiś pocziwy kucharz w sekrecie przyniósł nam parę ciastek, użalając się nad biednymi „kiszasońkami“ (po węgiersku „panienki“).

Najskromniejszy nasz dobytek, któryśmy zawdzięczały szczodroblewości artylerzystów, zagubił nam się w wędrówkach między Kołomyją a Husztem, a nie miałyśmy żadnej możności poczynienia jakichkolwiek sprawunków, ponieważ pilnowano najsurowiej, abyśmy — nawet pod strażą — nie wydalały się poza obręb karczmy i za niczyjem pośrednictwem nie robiły choćby najmniejszych zakupów.

Dokuczał nam brak bielizny, przyborów do szycia, najprymitywniejszych drobiazgów toaletowych. Ani jednej igły, ani nożyczek! Doku-

czało jeszcze więcej zupełne prawie odcięcie od ludzi, a najwięcej ta straszna przymusowa bezczynność po kilkoletniej intensywnej pracy.

Długie zimowe wieczory — i ani książki, ani gazety! A gdyby nawet jakiś dobry duch o nie



„Siostra Zosia”.

się postarał, nie byłoby przy czem ich czytać, bo nie miałyśmy światła w naszej ciasnej nędznej kwaterze.

Z okna, przy którym koncentrowało się całe nasze ówczesne życie, widywałyśmy często od-

działki Legionistów, prowadzonych pod bagneta-mi. Szli po prowiant albo po drzewo.

(W Bustya-Haza mieścił się jeden z kilku obozów, do których ściągnięto rozbrojonych żołnierzy „Polskiego Korpusu Posiłkowego“, aby o głodzie i chłódzie odpokutowali poryw „buntu“ i potem, przebrani w austriackie mundury, poszli na front włoski. Tutaj byli tylko nasi szeregowcy i podoficerowie, z których wielu znało nas z dawniejszych czasów).

Gdy pierwszy raz zobaczyli nas w oknie, uradowało się kochane bractwo jak dzieci. — „Siostra Zosia, Siostra Tosia, Siostra Wisia, jak się macie, Siostrzyczki!“ Naturalnie, warta pędziła ich spiesznie dalej. Od tego dnia dawali zawsze znać o swoim zbliżaniu się, śpiewając piosenki „leguńskie“. Rozumie się, że żadna warta na świecie nie mogła w tem przeszkodzić, żebyśmy z naszymi chłopcami bodaj paru słów nie zamieniły. Wnet nam powiedzieli, że kilkudziesięciu legunów melduje się codziennie u władz obozowych do pójścia po prowiant albo na zwózkę drzewa, bo to jedyna okazja do tej „największej przyjemności i rozrywki“, żeby nas zobaczyć. Kiedyś zaczęli prosić: „Przyjdźcie jutro, Siostrzyczki, do baraków, będzie msza polowa, powinni wam przecież pozwolić“.

Nie pozwolił nawet i na to miejscowy komendant. Dziwnie postępował ten grubawy, podtatusiały „Oberleutnant“ o niemiłym nastroszonym obliczu. (Nasi chłopcy nazywali go „Mopslejem“, że to i podobny do mopsa, i zły dla nich jak pies).

Przychodząc każdego rana, żeby skontrolować warty i przekonać się, czyśmy przypadkiem nie uciekły, mówił napuszczonym i tubalnym głosem: „Mein Kompliment“ i zdobywał się na szarmanckie ukłony. Ale nie zdobył się na to, żeby uczynić naj-



„Siostra Tosia”.

mniejszą, najdrobniejszą ulgę w ostrym i pełnym szyszan rygorze, w którym nas trzymano, niby zbrodniarki.

W trzecim tygodniu tych naszych umartwień (było to 4-go marca) zaprowadzono nas niespo-

dziewanie do kancelarji obozowej. Tam ujrzałyśmy feldmarszałka-porucznika Schillinga w całej okazałości i generalskiej paradzie. Znałam go z widzenia z Przemyśla, gdzie w jesieni 1917 roku prowadziłam przez kilka miesięcy pralnię po-



„Siostra Wisia”.

lową dla wszystkich oddziałów legjonowych, wygnanych przez Niemców z Warszawy.

Schilling oświadczył nam, że od tej chwili jesteśmy na wolnej stopie, że możemy swobodnie

chodzić po całym Bustya-Haza, że nam jednak nie wolno opuszczać tej miejscowości, ani też zbliżać się do baraków, w których przebywają internowani.

Zdumiona tą nagłą i zupełnie nieoczekiwaną zmianą w naszym losie, dotychczas takim mizeryjnym, zapytałam dość bezceremonialnie: „A cóż to się stało? Tak surowo byliśmy pilnowane, takie ważne, a tu nagle już nic nas się nie boicie“.

Odpowiedział mi (wcale nieźle mówił po polsku): „Wszystkiemu winien mąż pani, awanturuje się w obozie, pełen oburzenia, „że znęcamy się“ nad kobietami, stawiał przedemną do raportu, a że mam miękkie serce, przyrzekłem mu, że zajmę się waszym losem i złagodzę go w miarę możliwości. Nie jestem zły człowiek. Co można, to się zrobi. Ale z nimi muszę twardo postępować. Zbuntowali się i zdradzili, pójdą pod sąd“.

(Później, już mieszkając w Huszcie, dowiedziałam się, że mój mąż powiedział Schillingowi przy raporcie: — „Panie generale, nawet bolszewicy nie traktowaliby w podobny sposób sanitariuszek, nawet oni uszanowaliby Siostry Czerwonego Krzyża“. Polski Czerwony Krzyż jeszcze wtedy naturalnie nie istniał, ale wzięto nas potem pod ochronę międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Stało się to dzięki staraniom mego teścia, dr. Ludomiła Germana, który był wówczas wiceprezesem Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim. Lecz to sprawa dopiero następnych tygodni...).

Ta „wolna stopa“, którą gen. Schilling uroczyście nam obwieścił, wyglądała w rzeczywistości dosyć zabawnie, bo na zarządzenie „Mopsleja“ warta nadal czuwała przy naszej kwaterze i towarzyszyła nam nieodstępnie na spacerach. Ta tylko jedyna różnica, że wartownicy nie byli już uzbrojeni w karabiny.

Dalszem udogodnieniem — nowa kwatera, gdzie było luźniej i cieplej, ale zato znacznie bardziej na uboczu. Mając większą swobodę ruchów i korzystając z pierwszych początków wiosny, cały dzień spędzałyśmy na dworze, przemierzając to nieszczęsne Bustya-Haza we wszystkich kierunkach, ku rozpaczy naszych wiernych „aniołów-stróżów“. Łagodziłyśmy tę rozpacz tytoniem do fajki lub papierosami. W sprawunkach już nam nikt nie przeszkadzał, a miałyśmy jeszcze trochę pieniędzy.

Celem każdego naszego spaceru było dotarcie do drutów kolczastych, z poza których Legjoniści codziennie wyglądali naszego przybycia. Docierałyśmy, kołując, okrążając; złościли się wartownicy, nic im to jednak nie pomagało. Co dnia zdobywałyśmy sposobność do rozmowy z uwięzionymi i trafiłyśmy nareszcie na tę utęsknioną mszę połową, na którą poprzednio pójść nam zabroniono. Oddzielone kratą drutów od uszykowanych w ordynku Legjonistów, mogłyśmy przynajmniej patrzeć na nich, razem z nimi się modlić i po mszy razem z nimi śpiewać „Boże, coś Polskę“, albo „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“.

Udało się nam, nawet w naszej ówczesnej sytuacji, pomimo wszystkich pilnowań i zakazów pomóc jednemu z naszych podoficerów do ucieczki z obozu. Zaopatrzyliśmy go w tym celu w austriacką czapkę, którą poprostu i z całą bezczelnością kupiliśmy w sklepie.

Zjeżdżali teraz tutaj często audytorzy na przesłuchiwanie internowanych, szukając pośród nich „groźniejszych przestępców“.

Od jednego z tych audytorów, Polaka, uzyskaliśmy trochę wiadomości, ale jakże ponurych i przygnębiających: Proces przeciw winnym zdrady stanu i wojskowego buntu będzie prowadzony z całą surowością prawa; kilku oficerów będzie skazanych na śmierć z wszelką pewnością; możliwe, że cesarz ich ułaskawi i zmieni wyrok na dożywotnie ciężkie więzienie; reszta oficerów będzie pozbawiona rang oficerskich i zostanie wysłana na front włoski w mundurach austriackich feldfebli.

Tego dnia nie miałyśmy siły iść pod obóz i przez druty uśmiechać się do naszych... Nigdy jeszcze tak źle nam nie było. Uprzytomniłyśmy sobie, jakiej strasznej doli dorobili się nasi chłopcy po czteroletniej służbie dla Ojczyzny.

Raz na tydzień wolno było wysłać jeden list, oczywiście przez cenzurę wojskową. Poza tem korzystałyśmy z różnych tajemnych dróg, żeby dać znać o sobie najbliższym. Przez cały czas pobytu w Bustya-Haza nie dostałam od nikogo ani jednej literki, a tak na listy czekałam. Wiem, że do mnie

pisali, ale te listy tygodniami czekały w kancelariach cenzorów, którym nie chciało się ich czytać.

Dziwię się teraz, jak mi się zatarły we wspomnieniu te straszliwie beznadziejne tygodnie w Bustya-Haza... Pokryła je mgła monotoności i bezgranicznej pustki.

Mało mam nawet z tego czasu notatek, ponieważ w tem szarem przygnębieniu nie mogłam się zdobyć na prowadzenie bardziej szczegółowych zapisów i dziennika, jak to czyniłam później, w więzieniu koszyckiem.

Wreszcie w ostatnich dniach marca „Mein Kompliment“ wręczył mi dokument podróży do Husztu i z kwaśną miną oświadczył, że mam pozwolenie na widzenie się z mężem. Długo się namyślał gen. Schilling, zanim się przychylił do prośby, którą mu przed miesiącem przedstawiłam. Moje drogie koleżanki i towarzyszki niedoli były zrozpaczone, że je opuszczam, tem więcej, że nie wiedziały, czy do nich wrócę.

Na szczęście przyjechały za mną w dwa dni później, zwolnione, jak ja, wskutek telefonicznego polecenia, które wydała adjutantura gen. Schillinga.

Jak wyżej wspomniałam, stało się to dzięki energicznym staraniom Koła Polskiego w Wiedniu.

Po tej najrozpaczliwszej, szarej, przymusowej bezczynności przyszły teraz dwa miesiące, wypełnione pracą dla legjonowych więźni, podejmowaną z zapałem i z radością.

IV.

„Komitet“ w Huszcie.

Oczywiście w Huszcie musiałam przede wszystkim stawić się przed obliczem gen. Schillinga. Przyjął mnie z miną człowieka, oczekującego wielkich podziękowań. — „Ja panią uwolniłem, ja o to się starałem, tyle z tem miałem kłopotu, że aż mi głowa pękała. Zobaczy się pani z mężem — tu znowu zrobił minę łaskawego dobrodzieja — a potem zaraz pojedzie sobie pani do domu, do Lwowa, czy do Warszawy, najzupełniej wolna i swobodna. Ten legjonowy uniform radzę na stałe schować do szafy...”

Na to mu odpowiedziałam: „Dziękuję, że tylko miesiąc czekałam na widzenie się z mężem. Jeżeli jestem najzupełniej wolna, to przecież mogę przebywać, gdzie mi się podoba, a więc nawet i w Huszcie”.

Okropnie się na to oburzył, zaczął mi z ożywieniem tłumaczyć, że jestem tutaj całkiem niepotrzebna i zbędna, że wogóle niema tu gdzie mieszkać, że on tu rządzi i pod żadnym warunkiem się nie zgodzi, aby „legjonowe panie“ rządziły się tu pod jego boki, jak szare gęsi, krótko

mówiąc, że postara się, aby mi nie pozwolono na pobyt w tem miasteczku.

— „A ja się postaram, żeby mi pozwolono...”
I zaraz zainterpelowałam go, dlaczego wraz ze mną nie przybyły tu moje towarzyszki.

— „Chciałem, żeby wprost z Bustya-Haza pojechały do swoich domów. Cóż — rozłożył ręce — są wolne, jak i pani, mogą podróżować sobie po całych Węgrzech. Dobrze, powiem tam adjutantowi... Ale powtarzam, jedźcie wszystkie stąd jaknajprędzej, rozstałmy się po dobremu...”

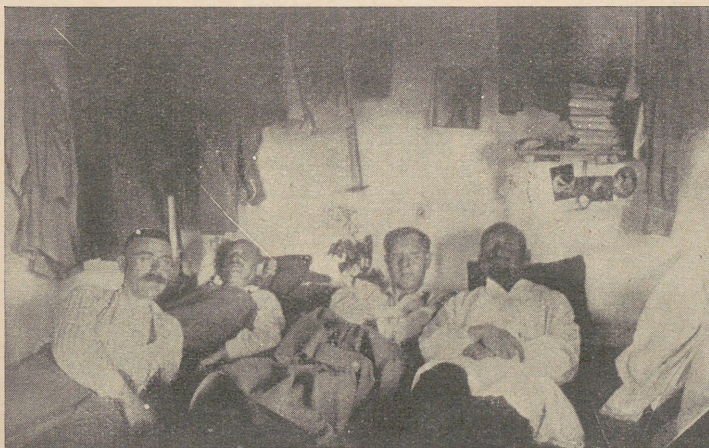
Narazie „rozstaliśmy się po dobremu”.

Dobrze to się mówi „upić się wolnością”... Dawno nie byłam w takim pysznym nastroju. Poszłam do budynku, w którym mieścił się Sąd wojсковy. Skierowano mnie tam do kapitana-audytora Ustjanowicza, który teraz przyjął mnie bardzo grzecznie. Obiecał mi, że za godzinę zobaczę się z mężem w jego obecności. Zaraz wydał rozkaz, żeby podporucznika Juljusza Germana wprowadzono z obozu.

Przez tę godzinę chodziłam po mieście (nie bardzo wielkie miasto to Huszt, parę tysięcy mieszkańców, ale po smętnem Bustya-Haza był to dla mnie kawałek Europy). Szukałam mieszkania. Schilling miał słuszość, że o to tu najtrudniej. Na śledztwo i proces Legjonistów zjechał do tej miejsciny wielki aparat sądowniczy. Niezajęty pokój należał do nadzwyczajnych rzadkości. Umieściłam się z ogromną biedą na tę noc i złożyłam na nowej kwaterze jako „istota najzupeł-

niej już swobodna“ cały mój bagaż, składający się z małej paczki, owiniętej w gazetę.

Zobaczyłam mego kochanego aresztanta bardzo zmizerowanego, bo oprócz wszystkich niewygód, zgryzot i trosk, które mieli jego koledzy, miał jeszcze troskę o mnie.



Wnętrze celi oficerskiej w Huszcie.

od lewej: rtm. Torma,
por. Homme,
ppor. German,
por. Gliniecki.

Przekonałam się później własnymi oczami, jak wyglądają „te niewygody“. Daleko za miastem szereg małych, parterowych, jednoizbowych domków. W izbie szczupłych wymiarów, o jednym oknie, kilkunastu (dosłownie kilkunastu) le-

gjonowych oficerów. (Tylko major Zagórski i kapitan Górecki byli, jako najważniejsi i najmniejbezpieczniejsi, najściślej izolowani, każdy miał taki domek tylko dla siebie).

Jedynym umeblowaniem, zajmującym dwie trzecie tego prowizorycznego więzienia, była drewniana prycza, posypana cienką warstwą woliny.

Tak mieszkali nasi uwięzieni oficerowie od 20-go lutego do początku czerwca. Przez pierwszych kilka dni żywiono ich tylko zupą z buraków („Nauczę rozumu polskich paniczów“ odgrażał się gen. Schilling), potem już znośniej, po pewnym czasie dość przyzwoicie.

Żołnierzy legjonowych więziono w obszer-nych barakach trochę bliżej miasta.

Tego samego dnia wieczorem dopytałam się o kwaterę drogiego generała Zielińskiego, który był tu, niby na wolnej stopie, tak samo, jak my, w drugiej połowie pobytu w Bustya-Haza.

Bardzo serdecznie mną się ucieszył, niemniej, jak mieszkający z nim razem dr. Wojciech Rogalski, szef sanitarny Korpusu Posiłkowego (dzisiaj generał dywizji w stanie spoczynku), i dr. Bolesław Korolewicz, najbliższy mój przełożony.

Spragniona wiadomości, wciąż ich miałam za mało i wciąż o nowe prosiłam.

Jakaż to była radość nareszcie po długich tygodniach znaleźć się pośród swoich, najbardziej szanowanych, którym można było mówić każdą myśl i zwierzyć się z każdą troską.

Pochwalili mój niezłomny zamiar pozostania

w Huszcie wraz z Tosią i Wisią. (Jużeśmy to planowały i omówiły oddawna: żadna z nas nie opuści uwięzionych. Wiemy z własnego doświadczenia, jak w obozach źle i ciężko. Zrobimy, co tylko w naszej mocy, żeby otoczyć naszych więźniów opieką).



General Zieliński „niby na wolnej stopie”.

Następnego dnia znów poszukiwanie kwatery. Znalazłam ją u garncarza za miastem (ale nie-stety z drugiej strony, nie tam, gdzie baraki Legjonistów). Trudno, lepsza taka niż żadna.

Ulokowałyśmy się tam we trzy, ciągle jeszcze oszołomione swobodą.

Pierwszym naszym gościem z Polski była

pani Emilja Jędrzejowiczowa ze Lwowa, przewodnicząca tamtejszego biura „Opieki Legionowej“.

Nie była to opieka formalna, ale najbardziej wydatna, najbardziej owocna i ofiarna pomoc, najserdeczniejsza i braterska, jak to Lwów i „lwowscy ludzie“ potrafią. Przez dwa miesiące pobytu w Huszcie byliśmy w stałym z nią kontakcie. Od niej, przezacnej i pełnej poświęcenia działaczki, dowiedzieliśmy się, jakim potężnym echem odezwał się w całym kraju zbrojny protest Legionów przeciw próbie nowego podziału Polski.

Następnym, bardzo miłym gościem, był Węgier, baron Julian Sintinis. Ten, już dzisiaj nieżyjący, szczerzy i oddany przyjaciel Polaków, przyjechał na prośbę Koła Polskiego w Wiedniu specjalnie w tym celu, żeby nam ułatwić pracę i pomoc dla internowanych Legionistów.

Spodziewał się, że zdoła przeprowadzić u gen. Schillinga, aby nie czynił nam żadnych trudności w pozostaniu tu na miejscu. Wyraziliśmy duże w tym względzie wątpliwości. Mimo to poszedł do głównego komendanta wszystkich obozów i naturalnie wrócił z niczem. Niezrażony, natychmiast wybrał się do Budapesztu i po trzech dniach przywiózł nam dokument z węgierskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, zezwalający na nasze przebywanie w Huszcie i opiekowanie się uwięzionymi.

Podziwialiśmy energję i dzielność tego małego, niepozornego garbuska, który w przyjaźni miał serce takie wielkie i takie dostojne.

Rozpoczęliśmy pracę. Stanęliśmy do niej pełne zapału i radości. Już po paru dniach przekonaliśmy się, że musimy mieszkać w samem mieście. Nabiegaliśmy się wszystkie, i duża to była zasługa Tosi i Wisi, że znalazłyśmy dwa pokoiki w bardzo dobrym punkcie, w bliskości sądu i stacji kolejowej.

Teraz już prawie każdego dnia zjeżdżali do Husztu rodzice i krewni uwięzionych, albo też tych, którzy w lutym przeszli przez linię frontu i już się połączyli — wprawdzie nie z wojskami Dowbora - Muśnickiego — ale z polskimi oddziałami generała Stankiewicza na Ukrainie. Wszyscy chcieli wiedzieć, co się dzieje z ich synami, mężami i braćmi.

Zwracali się wprost do nas, umieli nas zaraz po przyjeździe odszukać. Trzeba im było dopomóc w ulokowaniu się, dowiedzieć się w kancelarji Schillinga, w którym obozie poszukiwani się znajdują, uzyskać dla nich pozwolenie na wyjazd do tego obozu i na widzenie się z internowanymi, doręczyć przysłane pocztą lub przez okazję paczki, pieniądze i listy.

W kraju interesowano się tak żywo i tak gorąco losem uwięzionych na Węgrzech, że wieści o naszej działalności rozeszły się niesłychanie prędko. Z wielkiem zdziwieniem przeczytałyśmy już po paru dniach w pismach krakowskich i lwowskich, (które z początku goście z kraju nam przywozili, a które potem z wszystkich redakcyj stale nam przysyłano), że w Huszcie zawiązał się Komitet Pomocy dla internowanych Legionistów,

obejmujący wszystkie obozy, i że do tego komitetu należy kierować wszelkie ofiary ogólne i przesyłki prywatne.

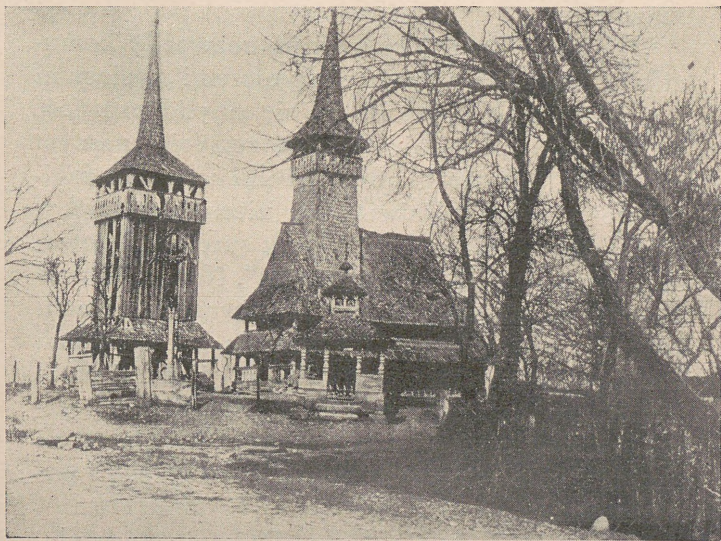
Naszej skromnej placówce na obczyźnie dano chrzest w kraju i zgóry wysoki kredyt moralny.

Jak „Komitet“ to „Komitet“! Poprosiliśmy dr. Rogalskiego, żeby zechciał stanąć na czele i objąć urząd skarbnika. Oddawałyśmy mu wszystkie pieniądze i kwity z poczynionych wydatków. Wisia Kossowska zajęła się całą rachunkowością i prowadziła ją poprostu wzorowo. Tosia Krzymuska wzięła na siebie przeważnie obowiązki kurjerki i w ciągłych rozjazdach utrzymywała stałą łączność ze wszystkimi obozami. Ja starałam się zorganizować sprawnie całą pracę. Głównie do mnie należało udzielanie informacji przyjezdnym, załatwianie wszystkich urzędowych formalności w sądzie i u Schillinga, później odbywanie konferencyj z obrońcami.

Przystał na ochotnika do tej pracy porucznik Tadeusz Grabowski, nieoceniony w niej i niezastąpiony (Dzisiaj pułkownik dyplomowany w Ministerstwie Spraw Wojskowych). Podczas przemarszu nie było go w Łużanach, gdyż parę dni przedtem wysłano go służbowo jako delegata Dowództwa Korpusu na pogrzeb jednego z naszych wyższych oficerów, zmarłego w Synowódzku pod Bolechowem. Władze austriackie internowały go w Huszcie, ale mieszkał na prywatnej kwaterze, tylko nie mógł wydalać się poza obręb miasta.

Cały dzień spędzał z nami, brał najgorętszy udział we wszystkich naszych planach i działaniach z odwagą, poświęceniem, energją i wielką pomysłowością, otaczając nas przytem serdeczną opieką i braterską przyjaźnią.

Pracowało się w ostrem tempie.



Cerkiewka w Dul-Falva.

W jednym pokoiku miałyśmy sypialnię, drugi był lokalem „Komitetu“, kancelarją, magazynem i warsztatem pracy. Tam rodziły się wszystkie konspiracyjne pomysły, tam odbywały się poufne narady, tam co kilka dni pisało się do późnej nocy komunikaty dla wszystkich obozów (Zwały się

te więzienia za kolczastymi drutami: Hust, Bustya-Haza, Szeklence, Talabor-Falva, Dul-Falva i Taracköz). W owych komunikatach mieściły się wiadomości z kraju i z całego świata, publiczne i prywatne, zebrane z gazet, opowiadań przyjezdnych i z korespondencji z wybitnymi przyjaciółmi Legjonów w Krakowie, Lwowie i Warszawie.

Tosia i Wisia (czasem i ja) rozwoziły komunikaty do obozów najwcześniejszymi pociągami i zawsze i stale udawało im się zmylić czujność wszystkich „Mopslejów“ i przemyścić naszym chłopcom te wąziutkie długie rolki szczelnie zapisanego papieru. Dziwili się nieraz Austriacy, skąd Legjoniści, zamknięci i tak surowo pilnowani, „jednak o wszystkim wiedzą“. Nam niezmiernie na tem zależało, żeby internowani nie tracili kontaktu ze światem, istniejącym poza drutami obozów i bagnetami wartowników. Czekali na te wieści z najbardziej niecierpliwą radością, z jeszcze większą czytali je potajemnie. Czuli, że za nimi stoi całe społeczeństwo, że mają opiekę i pomoc rodaków.

Pracy było bardzo dużo. Dnia nie starczyło. Tysiące internowanych, prawie do każdego przesyłki, listy lub odwiedziny. Na zajęcie się tem wszystkim tylko kilka osób. Każda musiała w pracy dwoić się i troić i czyniła to ze szczęściem.

Któregoś dnia, około 10-go kwietnia, przywieziono nam właśnie ze stacji obfity transport darów ze Lwowa (Rzadko kiedy dał się nasz

Lwów w ofiarności wyprzedzić!). Zajęte rozpakowywaniem, w gorącej robocie, nie spostrzegłyśmy nawet, jak w drzwiach naszego „magazynu“ zjawił się elegancki i wyświeżony austriacki porucznik, który najgrzeczniej przedstawił się jako adjutant feldmarszałka - porucznika Schillinga. Brzęknął ostrogami i rozpoczął, naturalnie po niemiecku:

— Ekscelencja przesyła paniom pozdrowienia i uprzejmie zapytuje, kiedy panie nareszcie odjeżdżają.

Odpowiedziałam wesoło:

— Wcale nie odjeżdżamy. Sam pan widzi, ile tu mamy zajęcia.

Stropiony i zafrasowany zawołał:

— Przecież Ekscelencja najwyraźniej paniom oświadczył, że absolutnie nie wolno paniom tutaj w Huszcie pozostać.

— Właśnie, że wolno — odpowiedziałyśmy chórem.

Powoli wyjęłam z szuflady cenny dokument z węgierskiego ministerstwa spraw wewnętrznych i, nie wypuszczając go z ręki, pozwoliłam przeczytać adjutantowi.

Bardzo się zmartwił elegancki porucznik. Starał się nas przekonać, że wynikną z tego nieprzyjemne komplikacje, że Ekscelencja będzie bardzo przykro urażony i boleśnie dotknięty.

— Taką ma dla pań życzliwość, a panie poza jego plecami, z pominięciem drogi służbowej....

Przerwałam mu zapytaniem:

— Komu my tutaj przeszkadzamy? Tak marnie żywicie Legjonistów, że musimy ich dokarmiać...

(W piątym roku wojny rozpoczynał się już na Węgrzech głód. W dodatku był to przednówek. Cesarsko-królewską armję prowiantowano już nader lichy, a cóż tu dopiero mówić o więźniach... Przysyłano nam z kraju mąkę, z której u miejscowych piekarzy wypiekało się chleb, przysyłało cukier, herbatę, lekarstwa, środki opatrunkowe, mydło i świece, buty i bieliznę, książki i materiały piśmienne...).

Dodałam nie bez ironji:

— Zresztą mieszkamy przecież prawie na przeciwko kwatery pana generała Schillinga. Może nas śledzić i pilnować, ile tylko dusza zapragnie...

(Wynajmując to mieszkanie nie wiedzieliśmy o tem sąsiedztwie. Miało ono swoje złe, ale także i bardzo dobre strony. Naczelný kometant więziennych obozów nie mógł przecież ani na sekundę przypuścić, że w jego najbezpośredniejszej bliskości zagnieździ się grono konspiratorów, z punktu widzenia austriackiej racji stanu najbardziej karygodnych).

Adjutant ubolewał: Zadarliśmy z Ekszellencją; sprawa to bardzo poważna.

Zapowiedział, że z pewnością zjawi się u nas wkrótce znowu w misji urzędowej.

— Owszem, może pan przyjść kiedyś na herbatę.

Musiałśmy wkrótce usłuchać „życzliwej“ rady gen. Schillinga i przebrać się po cywilnemu. Za bardzo wpadały w oczy nasze legjonowe mundurki, za dobrze znali nas z widzenia wszyscy oficerowie ze sztabu „Ekscelencji“, sędownicy, urzędnicy i — co najgorsze — agenci policyjni, kręcący się po Huszcie i okolicy.

Za pośrednictwem zawsze uczynnej i gotowej do każdej przysługi pani Jędrzejowiczowej sprowadziłam z naszego lwowskiego mieszkania parę sukienek, trochę bielizny, jakieś kapelusze i porzuciłyśmy z żalem nasze polowe „uniformy“, zdjęłyśmy kochane maciejówki z orzełkami i zginęłyśmy w tłumie innych kobiet. Byłyśmy teraz o wiele bezpieczniejsze i swobodniejsze.

Najpilniejszą teraz sprawą było sporządzenie spisów wszystkich naszych oficerów i żołnierzy, a przedewszystkiem żołnierzy, internowanych w obozach. Spisy takie znajdowały się wprawdzie w kancelarji gen. Schillinga, wykonane z jego rozkazu, ale tak niedokładne, nazwiska tak poprzekęcane, że rodziny nieraz daremnie jeździły do jednego obozu, a chłopiec był właśnie w innym. Nawet my miałyśmy trudności z doręczaniem paczek imiennych, i bardzo często zdarzały się omyłki.

Ale jak to zrobić?

I z tym kłopotem dałyśmy sobie radę.

Prostu „mianowałyśmy“ swoich kometantów w każdym obozie. Byli nimi nasi lekarze, którzy z natury rzeczy mieli najłatwiejszy dostęp do internowanych. Tylko w Bustya-Haza, gdzie

z braku naszych urzędował austriacki doktor wojskowy, funkcję „naszego komendanta“ pełnił jeden z energiczniejszych podoficerów.

Oni nam spisywali uwięzionych, donosili potem o każdej zmianie, gdy któregoś odesłano do szpitala, przeniesiono do innego obozu, lub też zabrano do dyspozycji sądu na konfrontację, czy przesłuchanie... Wiedzieliśmy zawsze dokładnie, gdzie każdy się znajduje.

Natomiast władze austriackie miały z nimi tysiączne kłopoty. Podczas kilkakrotnych spisów chłopcy wyprawiali dziwne hece, podawali nazwiska najśmieszniejsze i zupełnie nieprawdopodobne, a jeżeli już meldowali się pod własnymi nazwiskami, to czynili to w ten sposób, że, zapisani, zrećcznie i szybko zmieniali miejsce w szeregach i z najzimniejszą krwią powtarzali swój poprzedni meldunek. Dochodzili w ten sposób do takiej wprawy, że niejeden meldował się z dziesięć razy.

Chcieli trochę podokuczać „austriackim dziadom“, a mieli też swoje dowcipne wyrachowanie: jeżeli stan liczbowy będzie duży, (znacznie większy niż w rzeczywistości), „dziady“ będą musiały wydawać odpowiednio zwiększoną ilość porcyj żywnościowych. No, i w więziennych nudach trzeba mieć przecież jakąś rozrywkę...

Wynikło z tych leguńskich dowcipów, że na przykład w spisach Schillinga istniało kilkunastu „Zajaków“, a naprawdę było ich tylko dwóch i to każdy w innej miejscowości.

Nie kryliśmy się zbyt z tym, że mamy spisy naszej własnej roboty.

— Skąd panie je wzięły? — zaczęła nas kiedyś jakaś sądowa persona.

— Nasza rzecz. Możecie panowie z nich korzystać, jeżeli wasze są do niczego.

Pewnego popołudnia, w połowie kwietnia, przyszedł do naszej „kancelarii“ młody austriacki chorąży. Przedstawił się i rzekł dość nieśmiało zupełnie poprawną polszczyzną:

— Przysłano mnie z sądu wojskowego. Nie możemy dojść do ładu z niektórymi nazwiskami internowanych Legjonistów. I dla nich i dla nas wielkie stąd utrudnienia. Czyby panie nie były łaskawe nam pomóc? Podobno tylko panie mają spisy porządne i dokładne. Chciałem sprawdzić parę nazwisk.

Przyszło mi nagle na myśl: „Potrzebujemy sprzymierzeńców i pośród nieprzyjaciół...”

Chociaż miałam spisy pod ręką, powiedziałam chorążemu:

— Nie mogę panu służyć w tej chwili, bo koleżanka wyszła i zamknęła szufladę. Ale niech pan przyjdzie jutro rano... Bardzo dobrze pan mówi po polsku. Czy pan Polak?

— Polak? Nie. Jestem Żydem.

— Jaktó Żydem? To tylko wyznanie. Jeżeli pan nie jest Polakiem, to jest pan Niemcem, Czechem albo Węgrem, należy pan przecież do jakiegoś narodu. Gdzie pan się urodził? Gdzie pan kończył szkołę?

— Urodziłem się w Wieliczce. Mój ojciec miał tam sklep spożywczy. Tam chodziłem do

szkoły, potem do gimnazjum w Krakowie, w domu mówiło się po polsku...

— No, to pan jest Polak...

— Czy ja wiem?... Właściwie jestem Polakiem.

— Ładny z pana Polak, który jako dorosły mężczyzna i oficer dopiero przypadkiem o tem się dowiaduje. Ale to pana sprawy. A więc do jutra...

Odszedł niechętnie, jakby mi jeszcze nie powiedział czegoś bardzo ważnego.

Zjawił się nazajutrz. Rzekł zamiast przywitania:

— Proszę pani, to, co pani mi wczoraj powiedziała, spać mi nie dało. Całą noc o tem myślałem. Pani ma rację. Naturalnie, jestem Polakiem. Także i Żydem.

— Dobrze, że chociaż od dzisiaj czuje się pan Polakiem.

— Nie od dzisiaj — zaprotestował bardzo żywo. — Nieraz dziwiłem się, czemu mi tak smutno i przykro, gdy widziałem, jak Legionistów poniewierają i dręczą... Dziś już wiem dlaczego.

Milczałam. Żał mi go było, że jeszcze czuł się taki zgubiony i niepewny. Cieszyłam się, że w dużym Austrjaku narodził się „Polak mały“.

— Chciałbym panią przekonać, że mówię szczerze. Może mógłbym być pani w czemś pomocny?

— Owszem, i w niejednym... Ale nie chcę pana narażać...

— Będzie mi weselej, gdy trochę zaryzykuję... Bo wtedy będę czuł się trochę bliższy tym w obozach...

Żeby go wypróbować, powierzyłam mu na pierwszy raz misję dosyć łatwą i nie wymagającą nadzwyczajnie wielkiego ryzyka: niech wyszuka w kancelarji sądowej nasze legitymacje sanitariuszek legjonowych, które nam w Kołomyi odebrano. Niech wyszuka — i ściągnie.

Ściągnął, przyniósł. Zasłużył już na pełne zaufanie.

Od tej chwili aż do końca maja informował mnie stale i systematycznie o przebiegu całego śledztwa, przynosił odpisy (albo nawet i oryginaly) protokółów sądowych, różne ważne dokumenty do przejrzania lub przepisania.

Często w upalne dni majowe chodził w płaszczu, że to niby ma malarję i zimno go trzęsie, a pod płaszczem nosił na bijącym sercu owe nieocenione papiery.

Między sobą nazywałyśmy go krótko „chorążym”. Nazwiska nie pamiętam.

Gdy nas poznał, miał się za Żyda. Wnet się okazało, że był to zacny i prawy Polak i człowiek szlachetnej odwagi.

V.

W y w i a d y.

Od „naszych komendantów“ zaczęły nas dochodzić bardzo niepokojące wieści. W obozach coraz groźniej szerzyła się czerwotka. Nic dziwnego. Żywiono chłopców fatalnie, przeważnie zupami z rzepy, kwaszonej w beczkach na jesieni, a więc już podgniłej, niedogotowanymi burakami, twardym mięsem, a raczej żyłami i wnętrznościami końskimi, w najlepszym razie, na wielkie święto konserwami.

Trzeba było zaradzić złemu.

Wybrałam się do generała Schillinga.

Przyjął mnie grzecznie, a nawet bardzo uprzejmie, poczęstował dobrym papierosem, o naszym wyjeździe ani słówkiem nie wspomniał. Co to ma znaczyć? Czy już puścił w niepamięć swoją przegraną?

— Panie generale, przyszedłam z prośbą... W obozach trzeba koniecznie urządzić herbaciarnie. Legjoniści chorują gromadnie na dysenterję, w gorączce mają ciągle pragnienie, a do picia tylko zimną wodę. Damy do ich dyspozycji herbatę, cukier, wino czerwone, sok borówczany, suchar-

ki, wyleczymy ich prędko. Chodzi mi o pozwolenie pana generała na zorganizowanie takich bezpłatnych kantyn, które będą obsługiwać internowani żołnierze. Herbatę będzie się wydawało wyłącznie tylko chorym na polecenie doktora. Puścimy to w ruch, a potem od czasu do czasu, rozumie się, za urzędową zgodą, będziemy doglądać jak to idzie.

Wielkorządca obozów uśmiechnął się na to dość ironicznie.

— Bardzo sprytna jest pani Germanowa. Taka mała kobietka, a takie wielkie oczy i taka mądra. Nic z tego. Nikomu nie pozwolę łączyć do obozów. Wikt mają dostateczny, przestępcom pod śledztwem się nie dogadza. Jeżeli który zachoruje, to pójdzie do szpitala.

Stropiłam się. Narazie całkiem się nie udało. A tyle nadziei pokładałam w tych herbaciarniach! Byłaby to — poza rzeczywistym pożytkiem dla naszych chorych chłopców — stała i ustawiczna łączność z internowanymi, tak bezwzględnie konieczna w obecnem stadium dochodzeń sądowych.

Spróbowałam inaczej.

— Panie generale, zanim skończę tego pysznego papierosa, chciałabym jeszcze się zapytać, czyby może pan generał nie był łaskaw zatrudnić w swojej kancelarji któregoś z inteligentniejszych podoficerów legionowych? Oczywiście nie z pomiędzy tych, którzy są w obozach. Jest tu przecież kilkudziesięciu takich, którzy w czasie przemarszu byli w szpitalach lub na urlopach a teraz

mieszkają tu w koszarach i nic nie mają do roboty. Nudzą się, włóczą po mieście, a mogliby być pożyteczni.

— Wie pani, że to zupełnie niezła myśl... Naprzykład wczoraj mieliśmy wielki kłopot z jakimś... — tu zaczął szukać w papierach — Chrząszczewskim. Żaden Niemiec nie wymówi i nie napisze takiego nazwiska!

— Możeby się nadał jeden plutonowy, nazywa się Józef Moskal. Był w szpitalu przez cały luty i marzec. Nie jest orłem, ale robi to, co mu się dokładnie wytłumaczy.

— Dobrze, zgadzam się. Zawsze się zgadzam na rozsądne propozycje, tylko tej działaczki Germanowej to nie lubię.

Znowu rozstaliśmy się „po dobremu“.

Skrzywdziłam tego Józefa Moskala, mówiąc przed Schillingem, że to nie „orzeł“. Powiedziałam tak tylko dla ostrożności.

Ten młody, dwudziestodwuletni chłopiec był wzorowo opanowany, nad wiek rozumny, zapalony do ideowej pracy.

Udzieliliśmy mu dokładnych instrukcyj, jak ma się zachowywać w Schilling'owskiej służbie, żeby nie wzbudzić najmniejszego podejrzenia.

Zastosował się do naszych zleceń doskonale, ze świadomym uszczerbkiem dla własnej ambicji.

Po jakimś czasie uzyskał sobie u swoich austriackich szefów opinię pracowitego „tępaka“, powolnego ale bardzo akuratnego, sumiennej „maszyny do przepisywania“. Orano nim porządnie, i wkrótce się utarło, że gdy wszyscy biurowi

pracownicy szli na obiad, on „guzdrała“ zostawał, żeby wykończyć nadzwyczajnie pilną robotę. Zostawał — i gospodarował w pustych kancelariach, zdobywając dla nas pierwszorzędne informacje.

Raz przyszedł z wiadomością, że widział w jednym biurze zabraną przez Austriaków księgę rozkazów bojowych Dowództwa II-ej Brygady. Księgę tę prowadził własnoręcznie każdorazowy szef sztabu. Zaczęliśmy marzyć o uratowaniu tej bezcennej pamiątki legionowej.

Minął tydzień, może dwa tygodnie...

Jednego dnia w obiadowej godzinie otwierają się z wielkim hałasem drzwi naszego mieszkania, staje w nich blady Józek Moskał, wyjmując z pod płaszcza spory pakiet... To „księga rozkazów“ uratowana, zdobyta... Podał mi ją i zemdlony runął na podłogę. Pod wielkim wysiłkiem nerwowym ugiął się na chwilę nasz chłopiec-bohater. Wnet ocuciliśmy go (w „magazynie“ było wino przysłane ze Lwowa), podzieliliśmy się z nim obiadem, pokrzepił się, nabrał humoru i już zaczął przemyśliwać o nowych „podkopach“ do sądowych austriackich tajemnic.

Ogólna radość, żeśmy chytrygo Schillinga przechytrzyli.

Żał nam było, że nie dostałyśmy oficjalnego pozwolenia na osobiste prowadzenie herbaciarni w obozach. Musiałyśmy radzić sobie inaczej. Dostarczałyśmy jawnie austriackim władzom obozowym herbatę, cukier i wino dla naszych żołnierzy. Chłopcy brali z kuchni gorącą wodę i cały dzień

pili herbatę z winem lub z sokiem, ciesząc się jak dzieci.

W krótkim czasie epidemja czerwonki zaczęła zmniejszać się i słabnąć.

Żeby usprawiedliwić konieczność naszego pobytu w Huszcie i zaznaczyć działalność „Komi-



Legjoniści piorą bieliznę.

tetu“, należało w drodze urzędowej doręczać żołnierzom i oficerom różne dary z ofiar publicznych i paczki prywatne przysyłane z kraju.

Z temi paczkami była bieda, bo mimo naszych ciągłych próśb i tłumaczeń, rodziny internowanych bardzo często wkładały do przesyłek

listy, zupełnie nie nadające się do czytania przez cenzorów austriackich, a nawet ubrania cywilne i różne dokumenty (paszporty cywilne, legitymacje kolejowe), któreby się przydały do ułatwienia ucieczki.

Oczywiście miałyśmy z tego powodu nieraz wielkie nieprzyjemności, byłyśmy wzywane (przeważnie ja) do Schillinga i do sądu wojskowego, trzeba było się wykręcać na różne sposoby i potrochu traciłyśmy i tak już słabe zaufanie austriackich władz więziennych i sądowych.

A był to już okres, kiedy sąd z pomiędzy kilku tysięcy internowanych wyszukiwał i wyławał „najbardziej winnych“. Wynaleziono „takich zbrodniarzy“ stu trzynastu (wśród nich dwie trzecie oficerów) i postawiono przed sądem wojennym w Marmaros-Sziget.

W tym czasie zaczęli przyjeżdżać do Husztu niektórzy obrońcy przyszłych oskarżonych w tym historycznym procesie (dr. Tadeusz Dwernicki i dr. Natan Loewenstein ze Lwowa i dr. Herman Lieberman z Przemyśla). Skomunikowali się zaraz z nami i wnet powierzyli nam nowe zadania: Ponieważ nasi oficerowie i żołnierze, wierni legjonowym tradycjom, zeznawali z wielką brawurą i odwagą, lekceważąc sobie konsekwencje tych zeznań i często niepotrzebnie się obciążając, trzeba było przytłumić ten ich samooskarżający się entuzjazm. Trzeba też było dla uniknięcia różnych zawiślań stale ich informować, jak zeznawali ich podkomendni lub przełożeni, a czasem nawet au-

strzacy oficerowie i żołnierze, z którymi się w bitwie zetknęli.

Nielegalny dostęp do aktów sądowych miałyśmy przez „chorążego” Moskala i jeszcze innych zaufanych.

Różnymi drogami i sposobami doręczałyśmy te informacje.

Polowało się na okazje spotkania się z oskarżonymi, gdy szli na przesłuchanie, na spacer lub do kąpieli.

Posyłało się karteczki przez pewnych (albo przekupionych) ordynansów (chowali je zazwyczaj w pochwach od bagnatów).

Czasem w sądzie podczas widzenia się z mężem wcisnęłam mu ukradkiem notatkę do ręki lub szepnęłam parę słów, mimo że przy naszych rozmowach zawsze asystował prokurator Ustjanowicz.

Raz porucznik Grabowski, wiedząc, że dwóch uwięzionych oficerów zaprowadzono do dentysty, udał, że go strasznie ząb boli i wlażł do gabinetu eskulapa, robiąc wielki gwałt, że wytrzymać nie może. O mało co nie wyrwał mu zęba gorliwy dentysta, ledwie się obronił, ale powiedział kolegom, co było trzeba.

W pierwszych dniach maja zaczęła ta robota iść jak z kamienia.

Nagle zmieniono wszystkie oddziały wartownicze i wszystkich ordynansów, zabrano naszych różnych „przyjaciół”. Powiększono tajną policję. Zupełnie zakazano widywać się z uwięzionymi i z internowanymi.

A tu czeka moc ważnych listów, komunikatów, wiadomości niecierpiących zwłoki.

— Niema rady, przeberzemy się i same pójdziemy...

Gdy się ściemniło, przebrałyśmy się za dziewczyny z tamtejszego ludu (Słowaczki) z po-



Cele oficerskie.

mocą naszej poczciwej gospodyni, która nam pożyczyła ubrań swoich córek.

Chustki na głowach, twarze opalone, to w porządku, tylko trzeba było iść boszo, a nogi miałyśmy stanowczo za białe jak na chłopki. A więc pod studnię, potem mokre stopy nasmarowało się gliną i jazda drogą wzdłuż baraków i domków

oficerskich w stronę wsi Iza. Nieprzyzwyczajonym ciężko maszerować na bosaka, czuje się boleśnie każdy kamyk, każdą grudkę piasku czy żwiru.

Wisia, rodem z Trembowli (w Małopolsce wschodniej), umiała dobrze po rusińsku, ona więc jedna w razie potrzeby miała mówić za wszystkie.

Dochodząc do obozu oficerskiego, zaczynamy nucić którąś z piosenek legionowych, aby nasi domyślili się kto idzie. Domyślili się. Bo, gdyśmy minęły ich domki, widzimy, że za nami skrada się ostrożnie nowy i najwidoczniej już „oswojony” ordynans. Siadamy na chwilę przy drodze. Kładziemy w rowie „pocztę” i idziemy dalej. Oglądamy się. Ordynans zatrzymał się, schylił, obejrzał, porwał „pocztę” z rowu, schował za mundur, a zato wsunął pod kamień przydrożny „pocztę obozową”, zawsze przygotowaną do wysyłki, gdy zdarzy się nagła sposobność. Po chwili wracamy, zabieramy listy i szczęśliwie zdążamy ku domowi.

Powtarzałyśmy kilkakrotnie te wieczorne wyprawy w przebraniu i zawsze nam się udawało, aż raz...

Dochodziłyśmy już z powrotem do Husztu, zadowolone i rozzuchwalone powodzeniem. Była wyjątkowo późna godzina jak na Huszt, a więc pewnie około dziesiątej. Z bocznej uliczki wychodzi raptem dwóch umundurowanych policjantów. Oстрыm tonem mówią do nas coś po węgiersku. Wisia odpowiada po rusińsku, że nic a nic nie rozumie, czego chcą od nas.

Zrozumiałyśmy jednak jedno fatalne słowo: „Varos-Haza“ (Urząd policyjny). Tam — za nie! Mamy przy sobie „pocztę obozową“!

Widzę, że się nie wywinie. Więc błyskawiczna decyzja: uciekać!

Cichy szept do towarzyszek i w nogi...

Zanim grubi węgierscy policjanci zorjentowali się w sytuacji, przepadłyśmy już w ciemnościach. Słyszałyśmy tylko gwizdki alarmowe i z oddali ciężki tupot ścigających...

Nie czułyśmy kamieni ani żwiru, nasze bose, „za białe“ nogi niosły nas same. Okrężnemi drogami wpadłyśmy do naszej kwatery zadyszane, czerwone i z bijącemi sercami.

Zastałyśmy tam kapitana Galika (oficera w austriackiej służbie, Polaka całą duszą), naszego zacnego przyjaciela, który czekał, aż wrócimy i niepokoił się, że nas jeszcze niema.

Gdyśmy mu opowiedziały naszą przygodę, przeraził się i wyjaśnił, że według policyjnych przepisów, obowiązujących w Huszcie, samym dziewczynom nie wolno chodzić po mieście po dziewiątej wieczorem. Każdą samotną policjant bez miłosierdzia zabiera na „Varos-Haza“. Rejestracja, kontrola obyczajowa, „czarna książka“...

Ładna historia!

Zaprzestałyśmy tych wieczornych eskapad. Nie trzeba zbytnio igrać ze szczęściem.

VI.

Ucieczki.

Kapitan Galik odegrał dużą rolę w akcji, którąśmy teraz rozpoczęły. Chodziło o ułatwienie ucieczki niektórym z uwięzionych.

Był to człowiek dzielny, rozumny i bardzo opanowany. Pełniąc obowiązki komendanta stacji kolejowej w Huszcie, miał w rękach możliwość wszelkich ułatwień dla śmialków, którym już się sprzykrzyła austriacka niewola. Z tej możliwości korzystał w całej pełni, narażając każdego dnia swoje stanowisko i swoją osobistą wolność.

Swoim podpisem i rozkazem pokrywał naszą „zbrodniczą” akcję, nieraz w nocy sam wyprawał poszczególnych ryzykantów lub nawet całe ich grupy, zawsze nas informował, kiedy i jak mamy wysłać „gotowych do transportu”. Gotowych — to znaczy: zawiadomionych, że są dla nich przygotowane papiery i przebrania, że mają każdej chwili czekać na sygnał do ucieczki.

Te ucieczki różnie się odbywały.

Czasem poprostu zamiast legjonowej — austriacka czapka i dokument podróży dla austriackiego szeregowca. (Tak zwany „Offener

Befehl“). Dostawałyśmy — rozumie się drogą najbardziej nielegalną — blankiety takich „otwartych rozkazów“, opatrzone autentycznymi pieczętkami (czasem i podpisami), i już same wypełniałyśmy w nich rubryki: nazwisko, datę i cel podróży.

Pamiętam, jak raz przyjechała pani Emilja Jędrzejowiczowa i prosto ze stacji wpadła do nas,



Wejście do obozu żołnierskiego w Huszcie.

niezwykle przejęta. Podałyśmy jej śniadanie, ale odmówiła. Musi przedewszystkiem się rozebrać. Zdjęła bluzkę, w woreczku na plecach przywiozła kilkanaście „otwartych rozkazów“.

Ludzie, którzy przywykli do życia w prawdzie, mają wielkie i bolesne skrupuły, gdy muszą oszukiwać nawet wrogów i nawet w najszlachetniejszych intencjach. O wiele przykrzejsze

są te skrupuły niż świadomość niebezpieczeństwa.

Więc paliły ją te marszruty na plecach i chciała jak najprędzej pozbyć się tego ciężaru.

Wielką sensacją dla Schillinga, dla sądu, dla obozów była ucieczka trzynastu Legjonistów (miało ich być dwunastu, trzynastego to już oni przemycili) z odrutowanego i ściśle pilnowanego obozu w Huszcie. Kapitan Galik wysłał ich w zaplombowanym wagonie, jako transport soli. Napis kredą głosił: „Staatsgut — Salz“, (Sól — własność państwowa).

Ten transport szczęśliwie dojechał do Skolego, gdzie była nasza stacja odbiorcza, zorganizowana przez polskich kolejarzy. Zanim jednak można było bezpiecznie wagon otworzyć i chłopców cichaczem oswobodzić, zjawiała się austriacka żandarmerja. (Podejrzenie czy denuncjacja?). Wyjęto z wagonu „sól“ — własność państwową — i zaprowadzono do kozy. Ale tej samej nocy dzielni kolejarze wykradli naszych chłopców z aresztu, ukryli ich i już jako robotników kolejowych wysłali do Lwowa. Dużo było hałasu, raportów, pisaniny, a „sól“ była już daleko i śmiała się z listów gończych.

Ponieważ teren Małopolski nie był dla uciekinierów bezpieczny, lwowska „Opieka legjonowa“ wyprawiała ich zaraz do Warszawy. Opiekował się tam zbiegami z austriackich więzień cały szereg wybitnych osób, a wśród nich jedną z najgorętszych opiekunek była panna Irena Wasiutyńska.

Bardzo emocjonująca była ucieczka kapitana Włodzimierza Hellmana, jednego z najdzielniejszych frontowych oficerów, dowódcy kompanji saperów.

Uwięziony w Huszcie nie mógł żadną miarą wytrwać w bezczynności i niewoli, a poza tem niepokoił się i trapił o żonę i małych synków, pozostawionych bez zaopatrzenia w Warszawie. Postanowił uciec za wszelką cenę.

Wystarałyśmy się dla niego o legitymację i mundur austriackiego kolejarza.

W oznaczonym dniu, gdy w Huszcie i w Skolem było już wszystko przygotowane, poszłam w porze kolacji do rozsuwanej furtki w ogrodzeniu drutów, zamykającym obóz oficerski. Umówione było, że będę tam czekać, gdy — jak każdego wieczora — zajedzie tam furgon z chlebem. Kucharz z wielkim pustym koszem wyszedł przed furtkę. Z nim najspokojniej na świecie Hellman, trzymając kosz z drugiej strony. Teraz błyskawiczne momenty: narzucam Hellmanowi na ramiona austriacki płaszcz żołnierski, podaję mu austriacką czapkę, szybko przebiegam przez szosę i chowam się za węglem najbliższej chaty. Stało się to wszystko tak prędko, że wartownik przy furtce w niczem się nie połapał, tembardziej, że furgon nas zasłaniał. Hellman, jako austriacki żołnierz, szedł swobodnie i powoli ku miastu. Przegoniłam go, wskazując mu drogę do naszej kwatery.

U nas znowu przebrał się za kolejarza. Niestety, ten kolejowy uniform miał kołnierz nazbyt

szeroki, i za bardzo wpadało to w oczy. Poradziło się na to w ten sposób, żeśmy obwiązały kapitanowi szyję grubym bandażem. Jest chory na gardło, zupełnie nie wolno mu mówić. (Bardzo to ważne, gdyż Hellman nie znał języka niemieckiego, obowiązkowego dla austriackiej służby kolejowej). Gdyby go ktoś zagadnął, niech pokazuje na migi, że „jest bez głosu“.

Wyekspedjował go z całą pieczołowitością kapitan Galik.

Po kilku dniach otrzymałyśmy konspiracyjne wiadomości, że naszemu „kolejarzowi“ dopisało szczęście. W tym samym przedziale jechał jeden z austriackich audytorów, który go przed tygodniem jako „ciężko oskarżonego“ przesłuchiwał. Nie poznał więźnia w przebraniu i w binoklach. (Włożył je na naszą prośbę, ponieważ go to bardzo zmieniało).

Po ucieczce kapitana Hellmana przysłała fala takich obostrzeń, represyj i szykan dla uwięzionych oficerów, że postanowiłyśmy narazie wstrzymać zupełnie naszą „akcję ucieczkową“.

Zrobiłyśmy jednak wyjątek dla dwóch oficerów z obozu w Taracköz.

Byli tam internowani oficerowie i żołnierze, pochodzący z dawnego zaboru rosyjskiego (przeważnie z oddziałów legjonowej kawalerji, która, zakwaterowana w Bolechowie i w Dolinie, w przejściu Brygady udziału wziąć nie mogła).

Schilling mniej się tym obozem interesował, gdyż jego mieszkańcy nie mieli być objęci sądownym śledztwem i procesem. Wskutek tego nie

stosowano tam tak ostrego rygoru, jak w innych obozach.

Ponieważ nikt z rodziny nie mógł ich odwiedzić, bo okupacja niemiecka nie dawała pozwoleń na wyjazd do Węgier, czuli się bardzo odosobnieni i żalili się w listach do nas, że mało się nimi zajmujemy.

Wybrałam się tam 12-go maja po raz pierwszy. Daleka i łamana droga, w jednym dniu trudno było pojechać i wrócić, a nocować nie było gdzie.

Udało mi się przy pomocy znajomych oficerów, uradowanych moimi niespodziewanymi odwiedzinami, przedostać się do obozu. Mieszkali w dużych chatach w odrutowanym lesie.

Nadzwyczaj gościnnie mnie tam przyjmował dawny mój warszawski znajomy, chorąży 2-go pułku ułanów, Karol Dubicz-Penter (obecnie radca ambasady polskiej w Turcji). Zaprosił na swoją kwaterę kilku bliższych kolegów, podzielili się ze mną obiadem, wyczarowali skądś wino, a przede wszystkim spragnieni byli wiadomości i jeszcze raz wiadomości...

Chorąży Dubicz-Penter oraz drugi oficer, którego nazwiska już nie pamiętam, zaczęli mnie prosić, żeby im ułatwić ucieczkę. Zabija ich tutaj nuda i pustka więzienia życia, a w Warszawie mogą być bardzo potrzebni. (Już teraz myślało się o poczynieniu przygotowań na warszawskim gruncie, żeby ukryć tam najciężej oskarżonych, których będzie się musiało wyrwać z wię-

zienia przed ukończeniem procesu. Nie odda się ich na szubienice i na kule...! To pewne!).

Pomogliśmy im. Dostali dokumenty podróży, jako powracający z urlopów austriaccy oficerowie.

O szczęśliwym wyniku tej ucieczki dowiedzieliśmy się znacznie później, już w więzieniu koszyckim w lipcu, czy też w sierpniu.

Po tych wszystkich ucieczkach naprężone nasze stosunki z władzami austriackimi zaczęły psuć się i pogarszać w tempie gwałtownem.

W sądzie zauważono brak różnych papierów, sędziowie wreszcie się zorientowali, że oskarżeni stale są informowani o zeznaniach swoich kolegów nawet z innych obozów. Na dobitkę w pismach krakowskich i lwowskich ukazały się fotografie, przedstawiające naszych chłopców za kolczastymi drutami. (Egzemplarze tych pism na naszą prośbę z Krakowa i ze Lwowa posłano Schillingowi, żeby „się trochę ucieszył“. Wydał przecież najsurowszy zakaz fotografowania i polecił skonfiskować wszystkie aparaty).

Zaczęto teraz pilnie obserwować działalność „Komitetu“ i dokuczać nam na każdym kroku.

Schilling nie posiadał się ze złości.

Nie mogąc narazie nic nam zrobić, bo byliśmy bardzo ostrożni, wywarł swą zemstę na mnie: Żadnych widywań się z mężem! Zezwolenie cofnięte i zniesione!

Dotychczas co trzy, cztery dni mogłam z nim porozmawiać w kancelarji prokuratora Ustjano-

wicza i zależało mi na tych widzeniach niezmiernie.

Ale i tę sprawę z „Ekscelencją“ wygrałam.

Zwróciłam się do ojca mojego męża, który, nie zważając na zdrowie słabe już i stargane, zajął się w Wiedniu tą sprawą z całą energją.

Po kilkunastu dniach dostałam z naczelnego dowództwa armji austrjackiej w Badenie depezę, podpisaną przez szefa sztabu, że mam pozwolenie na widywanie się z mężem dwa razy w tygodniu. Moja radość i duma — a wściekłość Schillinga! Musiał usłuchać rozkazu. Ale usłuchał najformalniej i najzłośliwiej. Wystosował do sądu specjalne pisemne zarządzenie: podporucznikowi Germanowi nie wolno rozmawiać z żoną, oczywiście w obecności audytora, dłużej niż kwadrans.

Zanim nadeszła ta depeza z głównej austrjackiej kwatery, zdarzył się fakt, który zawsze będę wspominała ze wzruszeniem.

Kiedyś wieczorem przyszedł do naszego mieszkania jakiś oficer austrjacki i, zastawszy nas trzy w pokoju, powiedział, że musi w ważnej sprawie pomówić z panią Germanową.

Gdy koleżanki wyszły, przedstawił mi się: porucznik Żiwkowicz, komendant obozu w Huszcie. Prosił, abym mu przyrzekła, że nikomu ani słowa o tej rozmowie nie powiem. Oświadczył mi bez długich wstępów, że absolutnie nie może zrozumieć, dlaczego gen. Schilling zabronił mi widywać się z mężem. Poco znęcać się nad ludźmi, którzy w porywie miłości ojczyzny, wprowadzie

złamali sojusz wojenny, ale nie uczynili nic nieszlachetnego, którzy dowiedli, że mają odwagę?

— Ciężko i żal patrzeć na panią i na pani męża. Kochacie się, niedawno jesteście po ślubie, jak ja.. Jedno wciąż lęka się i trapi o drugie, a nie sobie pomóc nie możecie. Nawet i to wam zabrali, żeście od czasu do czasu na parę chwil mogli się zobaczyć...

Oczy zapłonęły mu gniewem.

— Proszę pani, czynię to z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność. Urządę pani widzenie się z mężem. Gdyby to się wykryło, czeka mnie kula w łeb. Czy pani to rozumie? Nikt nie śmie wiedzieć, koleżanka czy nie koleżanka...

Miał ostrą wyrazistą twarz, trochę sępią. Serb w austriackiej służbie, pod przymusem dozorca więzienny pobratymców.

— Jutro o 10-ej wieczorem — zniżył głos do szeptu, choć nikogo oprócz nas nie było w pokoju — będzie pani szła ku obozowi, dojdzie pani do chaty, w której jest moja kancelarja. Będę stał na ganku. Gdy pochylę głowę, wejdzie pani. Gdy wyciągnę rękę w stronę miasta, proszę zaraz zawrócić i przyjść dopiero za pół godziny. Ufam pani...

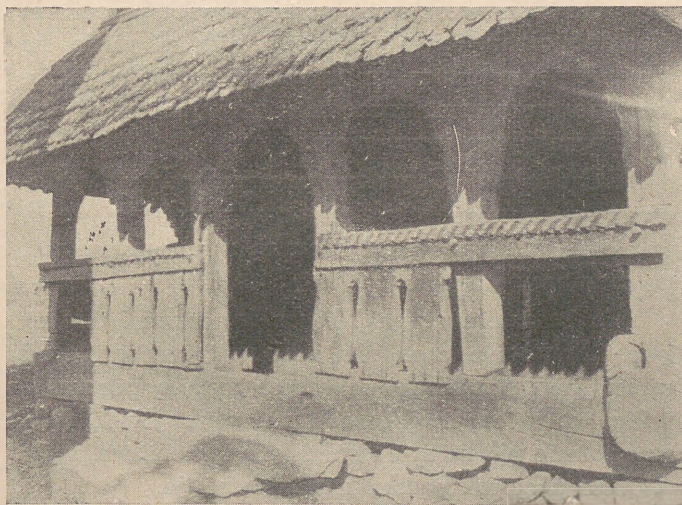
Długo i serdecznie ucisnęłam jego dłoń, patrząc mu w oczy z szacunkiem i wdzięcznością. Dławił mnie spazm wzruszenia. Ani słowa wymówić nie mogłam.

Gdy odszedł, Tosia i Wisia zaczęły się naturalnie dopytywać, kto to był i w jakiej sprawie.

Zdziwiły się i nawet uraziły, że po raz pierwszy mam przed nimi jakieś tajemnice.

Cały dzień następny byłam jak w gorączce. Co chwila patrzyłam na zegarek, godziny wlekły się jak nigdy.

Pod wieczór powiedziałam moim kochanym



Kancelarja por. Żiwkowicza.

towarzyszkom, że jestem bardzo zdenerwowana (sposzregły to biedaczki w ciągu dnia niejednokrotnie), że pójdę trochę się przejść, ale sama.

Zdaleka w ciemnościach zamajaczyła mi na ganku sylwetka porucznika Żiwkowicza. Gdy się zbliżyłam, dał znak, że jeszcze wejść nie można.

Zawróciłam ku miastu i znowu z powrotem.. Teraz pochylił głowę: droga wolna.

Chata była na wysokiem podmurowaniu i wchodziło się do niej po skrzypiących schodach. Po jednej stronie mieszkali jacyś wieśniacy, właściciele domostwa, izba z drugiej strony była kancelarją obozu oficerskiego.

Gdy tam weszłam, por. Żiwkowicz polecił mi siedzieć cicho, zgasił lampę, zamknął mnie na klucz i poszedł sam do obozu po mojego męża, którego przedtem uprzedził, aby nie kładł się spać przed jego przyjściem.

Czekałam. Gdy skrzypnęły schody, gdy odezwały się w sionce jakieś głosy, myślałam, że to już oni. Ktoś poruszył klamką u drzwi, widząc, że ciemno, odszedł.

Wreszcie zgrzytnął klucz w zamku i wszedł por. Żiwkowicz, a za nim mój mąż. Po czterech miesiącach mogliśmy nareszcie chwilę porozmawiać, wolni od urzędowego nadzoru. Żiwkowicz przy oknie pilnował naszego bezpieczeństwa, swoje narażając tak bardzo i tak odważnie.

Tej niebezpiecznej gry nie można było długo przewlekać. Por. Żiwkowicz, jak poprzednio, osobiście odprowadził więźnia do obozu, a potem mnie do miasta. Na moje najgorętsze podziękowania odpowiedział: „I ja byłem szczęśliwy przez chwilę“.

Myślę, że Bóg wynagrodził szlachetnego Serba za ten dobry czyn, spełniony z narażeniem życia.

Wśród intensywnej pracy, trosk, kłopotów i przykrości, odcięta od rodziny, bez możności widywania się z mężem, zupełnie zapomniałam, że nadchodzi dzień moich imienin.

Ale pamiętali o tej dacie oficerowie i żołnierze z wszystkich obozów i dali swej pamięci serdeczny wyraz.

Piętnastego maja z samego rana zaczęły się niespodzianki. Najpierw Tosia i Wisia złożyły mi życzenia. Potem przyszedł por. Grabowski i wszyscy troje wręczyli mi dary od obozów. Dostałam od oficerów w Huszcie pamiątkowy album, zrobiony przez nich z szarych kartonowych kartek. Na okładce wymalowano postać kobietą ze skrzydłami, roztoczoną nad rannym żołnierzem, i napis: „Przeznacznej, dzielnej i zapobiegliwej Siostrze Zofji Germanowej w dniu imienin 15-go maja 1918 ten skromny upominek składają polscy oficerowie w Huszcie“. Następną kartą — to kompozycja zbiorowa: Na środku Pallas Atene z głową, wyciętą z mojej fotografii, depczącą jakiegoś potwora, z którego widać tylko nogi, przystrojone w spodnie z generalskim lampasem (Najwyraźniejsza aluzja do Schillinga). Po jednej stronie Wisia, jako syrena (bo taka uwodna, przymilna i przytulna), po drugiej Tosia w aureoli anioła opiekuńczego w otoczeniu 10 małych aniołków (powycinane z fotografii brodate i wąsate główki oficerów z obozu w Szeklence, którym to obozem przeważnie się opiekowała). Na dalszych kartach powklejane były fotografie z życia więźniów w Huszcie. Na ostatniej stronnicy

orzeł polski, a pod nim podpisy wszystkich internowanych oficerów.

Oprócz tego dostałam pięknie rzeźbiony



Kapitan Roman Górecki.

przecinacz z drzewa z moim monogramem (od żołnierzy w Huszcie), listy od oficerów i szeregowców z obozów i ze szpitali.

Łzy zakręciły mi się w oczach, tyle szczerego serca było w tych listach, tyle wysiłku, żebym je na czas i bez cenzury dostała.

Wzruszający podarunek przysłał mi kapitan Roman Górecki. Przed swoją pustelnią założył wczesną wiosną ogródek i pierwsze wyhodowane w nim rzodkiewki mnie ofiarował. Związał je kunsztownie i tak przemyślnie, że na tle czerwonych rzodkiewek rysowała się z białych litera Z. Głęboko przejął mnie dar naszego bohaterskiego przywódcy, który w swojej samotni ani na chwilę nie stracił hartu, humoru i tężyzny.

Później przyszli goście. Najdroższy, czcigodny generał Zieliński, „Dziadzio Wojtuś“ (kochany pułkownik Rogalski), zacny mój szef, kapitan Korolewicz.

Dziwnie serdeczny, a równocześnie dziwnie smutny był nastrój tego zebrania. Nikt z rodziny nie mógł mi dać znaku pamięci, od męża miałam tylko list z poza drutów. Ci, którzy mnie otaczali, byli mi teraz podwójnie najbliżsi.

Drodzy przyjaciele, Wy wszyscy, którzyście mi wtedy w tym dniu pamiętnym tyle prawdziwego serca okazali, jeżeli dojdą do Was te słowa wdzięczności, wiedźcie, że na zawsze zachowam dla Was przyjaźń głęboką i gorącą. A jeszcze większą dla tych z pośród Was, kochani, których na tym świecie już niema.

VII.

Goście z kraju.

Oficerowie i żołnierze w obozach tak się przyzwyczaili do naszych odwiedzin, że — chociaż to było i bardzo męczące i dużo zabierało nam czasu — byliśmy w ciągłych rozjazdach, bo wiedzieliśmy, jak czekają pocztę z Husztu i okazji wysłania listów do swoich domów.

W ciągu maja także i ja odbywałam częste podróże. Były sprawy wymagające osobistego porozumienia z oskarżonymi. Jeździłam z polecenia obrońców.

Raz wybrałam się aż do Mikuliczyna, gdzie w szpitalu leczyło się kilku chorych oficerów i żołnierzy. Kiedyś znowu w Szeklence udało mi się dostać do chaty, w której mieszkało kilkunastu oficerów. Z powodu ciasnoty musieli spać na pryczach jedni nad drugimi. Z braku miejsca przebywali na tychże legowiskach także podczas dnia... Rozmawiamy... Nagle wpada któryś z kolegów z alarmującą wieścią, że idzie na inspekcję komendant obozu z dwoma oficerami i ze strażą. Moi gospodarze kazali mi się wdrapać na piec, niewysoki, jak to w tutejszych kur-

nych chatach, rzucili na mnie kilka płaszczy i musiałam kryć się pod niemi, skulona i bojąca się oddychać, dopóki komisja nie odeszła, znalazłszy „wszystko w porządku“. Z tego strachu było potem dużo śmiechu.

Potem znów w innej ekspedycji miałam daleko silniejsze wzruszenia.

Przyjechał generał Tadeusz Rozwadowski (choć jeszcze w austriackim mundurze, lecz już wojskowy doradca Rady Regencyjnej i z urzędu i z serca gorliwy opiekun internowanych polskich żołnierzy).

Miał się rozmówić z pułkownikiem Władysławem Sikorskim (w roku 1920 dowódcą V-ej armji, później prezesem rady ministrów, ministrem, obecnie generałem dywizji), który podczas przejścia Brygady dowodził etapowemi formacjami Legjonów w Bolechowie i w Dolinie, zgłosił w imieniu tych formacyj najformalniejszy i najbardziej energiczny akces do czynu uczestników bitwy pod Rarańczą i z tego powodu powędrował razem z wszystkiemi swojemi oddziałami za kolczaste druty węgierskich obozów.

Miał się rozmówić, jakichby tu użyć sposobów, żeby wyrwać oddziały pułkownika Sikorskiego z „austriackiej paszczy“, nie dopuścić do wysłania chłopców na morderczy front włoski. Zachodziła tutaj ta fatalność, że przy tej rozmowie będzie asystował „ekscelencja“ Schilling, najwyższy stróż i dozorca nad obozami. Należało więc poufnie uprzedzić pułkownika Sikorskiego i podać mu niejako „klucz do ustnych szyfrów“, ażeby roz-

mowa obu polskich dowódców dla Schillinga była niewinna, a dla nich pełna głębokiej treści, im tylko wiadomej.

Tę misję mnie powierzono.

Ponieważ Schilling z generałem Rozwadowskim mieli jechać do obozu w Talabor-Falva następnego dnia o 10-ej rano, musiałam wyruszyć w drogę natychmiast po otrzymaniu informacji od generała Rozwadowskiego. Pojechałam wieczorem koleją do Bustya-Haza. Stamtąd musiało się iść przeszło dwadzieścia kilometrów do Talabor-Falva. Naturalnie nie można było marzyć o dostaniu koni późną nocą, a samotny marsz w ciemnościach i w nieznannej okolicy nie bardzo mi się uśmiechał. Wzięłam więc sobie do kompanji dzielną i kochaną Wisię, zawsze pełną ofiarności i przyjaźni.

Po dokładnem przestudjowaniu mapy wyruszyliśmy z humorem, jak przystało na legjonowe kurjerki.

Szliśmy ze cztery godziny i około szóstej rano dosyć zmęczone i głodne dobrnęliśmy do obozu.

Oficerowie myli się właśnie w rzeczce za drutami, poznali nas zaraz, jedni otoczyli wartowników i zaczęli im na gwałt coś tłumaczyć i opowiadać, inni szybko wciągnęli nas za ogrodzenie z drutów.

Schowali Wisię i mnie w chacie-celi więziennej, poczęstowali nas chlebem i kawą, gdy im przyniesiono śniadanie, i zawiadomili pułkownika Sikorskiego, żeby prędko się ubierał i przychodził.

Misja moja powiodła mi się wybornie.

Wracałyśmy zadowolone, tem więcej, że w połowie drogi natrafiłyśmy na wóz z sianem, który nas podwiózł do stacji. Dojeżdżając do Bustya-Haza spotkałyśmy samochód wojskowy, wiozący dwóch generałów, którzy wprawdzie byli ubrani w jednakowe mundury, lecz zasadni-



Ranna toaleta oficerów.

czo i biegunowo się różnili: jeden, najszczerzy Polak, kochał Legionistów jak braci, drugi Austriak-biurokrata, nienawidził ich i gnębił. Schowałyśmy głowy w siano, żeby Schilling nas nie poznał.

Wogóle w tym czasie przyjeżdżało do Husztu

wiele osób wybitniejszych i już znanych z pracy narodowej i społecznej.

Zbliżał się termin rozpoczęcia procesu w Marmaros-Sziget, w całej Polsce wzrastało gorące zainteresowanie losem podsądnych.

Zjawiała się wśród nas czcigodna i szlachetna postać księdza Ratusznego z Małopolski. Objechał wszystkie obozy, krzepiąc i podnosząc na duchu uwięzionych. Z entuzjazmem pisali nam chłopcy o jego podniosłych przemówieniach.

Przywiózłszy pewną sumę, zebraną z funduszków publicznych na potrzeby internowanych, zmusił poprostu mnie i moje towarzyszki do przyjęcia kilkuset koron, choćby tytułem pożyczki, uważając, że za skromnie się odżywiamy i że jest rzeczą społeczeństwa dać nam utrzymanie w naszej pracy na obczyźnie. Zwróciłyśmy ten dług serdeczny zaraz po wyjściu z więzienia w listopadzie 1918 roku.

Z Warszawy przyjechali: moja dobra, dawna przyjaciółka pani Zofja Csàky-Pallavicini (obecnie Januszowa Czarlińska), gorąca entuzjastka Legjonów, panna Halina Romanówna, kapitan Kazimierz Drewnowski, adjutant Regenta księdza kardynała Kakowskiego (dziś profesor politechniki warszawskiej), rotmistrz Stanisław Rostrowski, adjutant Regenta hr. Ostrowskiego (dziś pułkownik dyplomowany i dowódca pułku jazdy). Ci dwaj oficerowie przywieźli znaczniejszy fundusz, przeznaczony na ułatwienie ucieczki najciężej oskarżonym. Odezwało się serce Warszawy.

Do kapitana Góreckiego przyjechały matka i siostra.

Pozwolono mu zobaczyć się z niemi w obecności sędziego wojskowego. Przyprowadziłam te panie, nieznające Husztu, do sądu i byłam przypadkowym świadkiem sceny przejmującej i niezapomnianej.



„Goście z kraju”.

Miał tam także przybyć mój mąż na jedną z naszych tygodniowych, „kwadransowych” rozmów.

Kapitan Górecki nadszedł pierwszy.

Rozmawiał z matką już chwilę, właśnie tuliła do serca głowę swego ukochanego syna, gdy zbliżył się do niego audytor i coś mu szepnął do

ucha. Widziałam, że zrobiło to na więźniu bardzo silne wrażenie, ale natychmiast się opanował, zebrał w sobie i pogodnie prowadził dalszą rozmowę. Po kilku minutach podszedł do mnie. Siedziałam, jak mogłam najdalej, w kącie pokoju. Rzekał mi pocichu:

— Wie pani, co on mi powiedział? „Panie kapitanie, niech pan przygotuje swoją matkę, że będzie pan bezwarunkowo skazany na śmierć i niech pan już teraz z nią się pożegna“. Co pani na to?

I ja miałam wewnętrzną dyscyplinę. Powiedziałam szybko i spokojnie:

— To podłość i kłamstwo. To się nigdy nie stanie. Gdyby zapadł nawet wyrok najgorszy, to i tak pana nie damy. Wiem, że pan matce i siostrze ani słowa o tem nie powie. Proszę wierzyć, że niedługo będzie pan wolny.

Wzięli go z powrotem do obozu. Stanęliśmy we trzy przy oknie. Patrzyłyśmy, jak kapitan Roman Górecki szedł środkiem ulicy (bo aresztantom nie wolno iść chodnikiem), przed nim i za nim wartownik z bagnetem na karabinie. Naprzeciw szedł podporucznik Juljusz German, prowadzony do sądu również środkiem ulicy i pod taką samą eskortą.

Gen. Schilling chciał upokorzyć polskich oficerów, w ten sposób ubliżając ich mundurowi i ich godności.

Ubliżył tylko sobie.

Te wszystkie udręczenia i zmartwienia były od obcych i wrogów. Niestety, w tym właśnie

czasie spotkała nas jedna z najdotkliwszych przykrości — bo od swoich.

Gdyśmy któregoś dnia przeglądały pocztę, nadesłaną z kraju, listy i gazety, rzucił mi się w oczy w krakowskiem piśmie „Głos Narodu“ artykuł, zakreślony niebieskim ołówkiem.

Krew mi uderzyła do głowy...

To pismo, które tyle razy podnosiło na swoich szpaltach „niestrudzoną działalność Komitetu w Huszcie“, „energję, poświęcenie i celowość pracy“, które nie szczędziło pochwał i uznania, może nawet ponad zasługę — nagle drukuje najsurowszą krytykę, obsypując nas zarzutami, że paczki dla żołnierzy giną, że niewiadomo na co idą pieniądze ze składek, że pewno członkowie „Komitetu“ dobrze sobie żyją i we wszystkim dogadzają...

Członkowie „Komitetu“ wszyscy wymienieni po nazwisku.

Trudno mi dziś opisać żal i oburzenie zarówno nasze, jak i pułkownika Rogalskiego. Nie wiedzieliśmy, czy bardziej się oburzać na ludzką głupotę, czy też na ludzką najmarniejszą złośliwość.

Przecież każdy musiał wiedzieć, że w owej chwili było niepodobieństwem i niemożliwością drukować w gazetach sprawozdania rachunkowe z konspiracyjnej pracy dla więźniów!

Że tam jakimś „maminemu synkowi“ paczka z łakociami przepadła na poczcie lub w kancelarji obozu, że jakiś „tatuś rozżalony“ poskarżył się na to w liście do redakcji — to już nasza

cała robota nic nie warta? Robota, prowadzona od miesięcy z ustawicznym natężeniem wszystkich sił i nerwów? To dlatego podkopuje się zaufanie do jedynej placówki opiekuńczej nad węgierskimi obozami?

W najgłębszym, najboleśniejším rozżale-
niu — o, bolało, bolało — pobiegłyśmy do genera-
ła Zielińskiego.

Zastałyśmy go przy układaniu pasjansa. By-
ła to duża jego namiętność. (Niektórych pasjan-
sów ja go nauczyłam).

Podaliśmy mu ten nikczemny artykuł do prze-
czytania i powiedziałam, że w tych warunkach
niepodobna pracować, niech generał rozwiąże
„Komitet“ i każe ogłosić to w pismach krakow-
skich.

— A co będzie z Legjonistami? — zapytał ge-
nerał głosem spokojnym, ale z wypiekami na su-
chej mazurskiej twarzy.

Milczałam.

— Czy jesteś pani Legjonistą?

— Jestem Legjonistą, panie generale.

— Czy szłaś pani z nimi wszystkimi wtedy
w lutym, gdyście z Austriakami zerwali?

— Szłam, panie generale.

— Czy bałaś się pani karabinów maszyno-
wych, gdyś wlaźła pod ich kule?

— Nie bałam się, panie generale.

— To nie bój się pani i teraz i pracuj pani
dalej.

Wziął moją dłoń w obie swoje dłonie.

— Rozkaz, panie generale, — rzekłam ze łzami w oczach.

Chciałyśmy iść „do domu“ i zabrać się posłusznie do dalszej roboty. Ale nasz drogi ojcowski przyjaciel smutnych i markotnych od siebie nie puścił. „Kazał“ nam, żebyśmy z nim poszły na kilkugodzinny spacer, daleko za Huszt do winnic wysoko nad rzeką.

Dziwnie nas ukoїła ta przechadzka. Najlepszym lekarstwem na bolesne nasze skrzywdzenie było szlachetnie spokojne, kryształowe serce generała i spokój, idący z lazuru nieba, ze wzgórz, z rzek i z lasów...

Wróciłyśmy do pracy pokrzepione, silne, znów pełne zapału.

Te ostatnie miesiące: wspólnej służby sanitarnej na Bukowinie, pobytu w Bustya-Haza i w Huszcie, chwile ciężkie i smutne, momenty podniosłe i groźne, któreśmy razem przeżyły, skuliły nas trzy, nierozłączne towarzyszki doli i niedoli węzłami głębokiej przyjaźni i najszczerzego zaufania. Kochałyśmy się jak siostry, czułyśmy się sobie nawzajem najbliższe.

Z naszej serdecznej trójki musiała teraz ubywać jedna, wprawdzie tylko na kilka dni, na tydzień, ale przejmowała niepokojem nawet ta krótka rozłąka. Trzeba było jechać nielegalnie i konspiracyjnie do Lwowa i Krakowa.

Ułożyłyśmy, że pojedzie Tośka, doświadczona i najsprawniejsza obozowa kurjerka.

Ponieważ zabierała ze sobą wielką ilość listów od oskarżonych do rodzin i przyjaciół,

Marysią), który miał złamaną rękę, chodzili na opatrunki do szpitala i gdy wracali do obozu, udało im się parę razy „namówić” wartowników, aby ich na chwilę do nas przyprowadzili.

I działo się to wszystko pod okiem, bokiem i oknem „Ekscelencji” Schillinga!

Z takim „własnego wyrobu” dokumentem podróży kochana nasza Tośka pojechała do Lwowa, potem do Krakowa, gdzie oddała profesorowi Stanisławowi Kotowi pod opiekę wszystkie cenne pamiątki legjonowe i wróciła zadowolona, stęskniona do nas, do obozów, do drutów koleczastych, do niebezpiecznej pracy.

VIII.

Plan wykradzenia więźniów.

Z pośród kilku tysięcy internowanych w obozach węgierskich śledztwo sądowe wyszukało stu trzynastu „najgorszych przestępców“, oficerów, podoficerów i żołnierzy, którym wytoczono proces o cały szereg zbrodni: bunt, zdrada stanu, zbrojne targnięcie się na przełożonych... morderstwo i nawet kradzież! („Morderstwo“ — bo do Austrjaków strzelali „buntownicy“... „Kradzież“ — bo mundury i broń Legjonistów były rzekomo własnością rządu austriackiego).

Proces miał się rozpocząć w pierwszych dniach czerwca tegoż roku 1918.

W całym Huszcie nie było tak dużego budynku, w którym mogłyby się odbywać rozprawy sądowe z taką ogromną ilością oskarżonych. Dlatego też wybrano w tym celu odległe o dwie godziny jazdy koleją miasteczko Marmaros - Sziget, gdzie istniało jedno z największych więzień na Węgrzech. (Marmaros-Sziget należy obecnie do Rumunji, Huszt do Czechosłowacji).

Te groźne przygotowania wskazywały, że sprawa będzie prowadzona bardzo surowo. Obroń-

cy oskarżonych mieli więc słuszne powody do przypuszczeń, że zapadną wyroki nadzwyczaj ostre i ciężkie.

Od połowy maja ciągle przyjeżdżali adwokaci z Małopolski, aby się porozumieć z podsądnymi i uradzić wspólną linię obrony.

Zgłosiło się ofiarnie i bezinteresownie do tej politycznej i historycznej sprawy sześciu wybitnych prawników: dr. Dwernicki, dr. Loewenstem i dr. Lieberman, których już raz poprzednio wymieniałam, oraz z Krakowa dr. Kazimierz Ostrowski, dr. Jakób Przeworski i dr. Kwieciński. (Z tych wszystkich żyją tylko dwaj: dr. Dwernicki i dr. Lieberman).

Przyszli oni do przekonania, że przynajmniej dziesięciu oskarżonych będzie skazanych na śmierć i postanowili, że — o ile te ich obawy podczas lub pod koniec procesu się potwierdzą — trzeba będzie tych najbardziej zagrożonych wykraść z więzienia.

Zwrócili się do nas, żebyśmy zawczasu w największej ostrożności wzięły się do przygotowań.

Pewnem było, że zemsta i nienawiść Austriaków skierują się przede wszystkim przeciw kapitanowi Góreckiemu. (Proces miał urzędową nazwę: Sprawa karna kapitana doktora Romana Góreckiego i towarzyszy). W dalszym rzędzie obawiać się należało o majora Zagórskiego, rotmistrza Okołowicza, kapitana Bolda, porucznika Bogdanowicza, sierżanta Pyzikiewicza i jeszcze kilku podoficerów i szeregowców, którym chcia-

no na gwałt udowodnić, że od kul ich karabinów polegli austriaccy oficerowie i żołnierze.

Dla tych wszystkich musiało się obmyśleć możliwość ucieczki.

Wymagało to koniecznie rozmówienia się z nimi bez świadków.

Nie było to rzeczą łatwą.

Postarałam się o widzenie w sądzie z kapitanem Góreckim. Liczyłam na pomyślny zbieg okoliczności, że może uda nam się zmylić czujność asystującego przy rozmowie austriackiego audytora wojskowego.

Niestety, tak nas pilnowano, że ani słowa poufnie zamienić z nim nie mogłam.

Trzeba było wybrać inną drogę.

Wiedziałam, że kapitanowi pozwalają od czasu do czasu na spacerzy poza obóz, gdzieś w góry, naturalnie pod ścisłą eskortą. Porozumieliliśmy się tajnymi karteczkami i umówili, że spotkamy się w lesie na przechadzce, gdy wartę będą pełnić „lubiący tytoń“ landszturmiści.

Spotkaliśmy się.

Pierwsze moje słowa wywołały odruch wielkiego oburzenia. Kapitan Górecki zaczął mi tłumaczyć z najszczerzem przejęciem, że, gdy się walczy o wolność, ofiary z życia są konieczne i celowe, że ani mu się śni uchylać się od odpowiedzialności, że na wyrok śmierci jest przygotowany, że ten wyrok wewnętrznie już przeżył, że nie ucieknie.

Używałam argumentów, któremi mnie uzbroili obrońcy. Mówiłam, że ma obowiązek za-

chować młodość i siły dla ojczyzny, której „jutrzeńka swobody” już świta. Żeśmy zawsze mieli za dużo męczenników, a za mało ludzi czynu i niezłomnej energii. Należał do najgorętszych organizatorów zerwania ze zdrazieckimi Austriakami, przedarcia się polskich oddziałów przez front, dzielący dawne polskie granice, niechże się gotu-



Chorzy Legjoniści w szpitalu w Huszcie.

je i przysposabia na zorganizowanie tych wszystkich spraw najważniejszych, których dziś nie przejrzeć, ani policzyć...

Dopiero, gdyśmy się rozstawali, uzyskałam od niego obietnicę, że przychyli się do postanowienia obrońców, jeżeli wszyscy koledzy, prze-

znaczeni do ucieczki, solidarnie na to się zgodzą. Ale przychyli się — wbrew sobie.

Teraz należało porozumieć się z kapitanem Boldem, porucznikiem Bogdanowiczem i sierżantem Pyzikiewiczem, którzy, niewiadomo dla jakich powodów, trzymani byli w Huszcie nie w obozie, ale w miejscowem ciasnem więzieniu.

Na tych obu artylerzystów jakoś specjalnie byli Austriacy zażarci, zaś sierżant Pyzikiewicz był oskarżony o przecinanie drutów telefonicznych i telegraficznych i jemu z pomiędzy podoficerów groziła najcięższa kara.

Nie po raz pierwszy przedostałam się do tego więzienia. Był tam jeden klucznik, bardzo „pocziwy“, o ile został za tę „pocziwość“ dobrze wynagrodzony. Tytoń nie wystarczał. Klucznik lubił złote monety. Dostał je. Sam mnie zaprowadził do celi obu oficerów i przywiódł tam sierżanta.

Dzielni, odważni ludzie! Legjoniści! Trudną ze wszystkimi miałam przeprawę. Żaden nie chciał opuszczać towarzyszy, nawet za cenę wolności.

Musiałam im wreszcie powiedzieć, że generał Zieliński wie o tych planach, akceptuje je i pochwała.

— A jeżeli generał rozkaże, to co innego — odpowiedzieli zgodnie.

Pozostawało teraz porozumienie się z rotmistrzem Okołowiczem, który od kilku tygodni leżał chory w szpitalu w Huszcie. Odwiedzałam go kilkakrotnie, ale zawsze asystował przy tych rozmowach audytor wojskowy.

Dałam znać potajemnie rotmistrzowi, że muszę się z nim widzieć bez świadków w ważnej sprawie. Łącznikiem między nami był szesnastoletni chłopaczek, Tadzio Moszkowski z Warszawy, Legjonista chociaż dzieciak, zuchwały, miły, prze-myślny. Przysłany do Husztu z oddziału rekrutów w Bolechowie, przebywał tu w koszarach, a gdy zachorował (dość lekko), umieszczono go w szpitalu, skąd często dostawał przepustki na miasto i za każdym razem do nas wpadał.

Dzielny Tadzik pomógł mi doskonale.

Pielęgniarką oddziału szpitalnego, na którym leżał Okołowicz, była młoda, ładna siostra Czerwonego Krzyża, Niemka, „Armeeschwester“, bardzo dobra dla Legjonistów. Zobaczyłam się z nią, gdy miała dzień wolny od służby, i zaczęłam ją gorąco prosić, żeby mi ułatwiła nieurzędową rozmowę z rotmistrzem. Powiedziałam jej, że jest to jeden z moich najbliższych i najmilszych przyjaciół. (Kładłam nacisk na sentyment, aby nie podejrzewała, że jakieś polityczne względy grają tu rolę, bo wtedy bałaby się wielkiej odpowiedzialności.). Dobra, sentymentalna Niemeczka dała się namówić.

Tegoż wieczora o ósmej zaczynał się jej dyżur nocny. Pożyczyła mi swego białego fartucha, czepka, honorowej odznaki „Armeeschwester“ i płaszcz z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie.

Powiedziała mi, dość wystraszona:

— Do szpitala musi się pani dostać już własnym sprytem. Gdyby panią w mojem prze-

braniu poznano i cała rzecz się wydała, ja nie wiem o niczem.

Wejść do szpitala urzędowo i otwarcie byłoby rzeczą dość niebezpieczną, ponieważ warta przy bramie mogła odrazu odkryć całą maskaradę. Dlatego przekradłam się przez parkan. Cekał tam na mnie Tadzio Moszkowski, który jeszcze za dnia obluzował w parkanie dwie belki. Teraz tylko lekko je odsunął, precisnęliśmy się z pewnym trudem, potem zasunęłam belki napowrót i zatknęłam zieloną gałązkę, żeby trafić, gdy będę wracała.

Byłam już na wielkim dziedzińcu szpitalnym. Na nieszczęście świecił księżyc bardzo jasno. Naprzeciw nas, jak na złość, idzie dwóch austriackich lekarzy. Mój mały przewodnik skręca nagle w bok w kierunku innego pawilonu. Udało się uniknąć powitania i ewentualnej rozmowy, któraby mogła mieć dla mnie fatalne następstwa. Schowaliśmy się za rogiem budynku. Wyjrzelśmy po chwili. Cicho, pusto. Wchodzimy na oddział wewnętrzny. Tu już znam drogę. Posterunek wojskowy pilnuje drzwi pokoju, w którym leży chory legjonowy oficer. Naturalnie dyżurną siostrę puszcza bez pytania.

Zastałam Norberta znacznie zdrowszego. Szybko teraz się poprawiał w dobrych warunkach. Czysty pokój, wygodne łóżko, poduszka pod głową...

Jakże to było inaczej, gdy przyszłam do niego zaraz po przyjeździe z Bustya-Haza. Towarzyszył mi audytor. Norbert leżał w brudnej i smut-

nej celi (w jednym z tych osobnych domków, o których poprzednio pisałam), przed drzwiami i pod oknem żołnierze z bagnietami na karabinach. Twarda pryzca, nakryta płachtą z namiotu, koźuch pod głową. Serce mi się krajało na widok chorego w takich strasznych warunkach. To też dołożyłam natychmiast wszelkich starań, żeby go przeniesiono do szpitala.

Łatwiej mi było przekonać Okołowicza o konieczności ucieczki, skoro mogłam mu powiedzieć, że jego koledzy ten projekt przyjęli.

Rozmawiamy sobie w najlepsze, gdy wtem kroki na korytarzu. Rotmistrz zgasił lampę, ja stanęłam pod wieszadłem, na którym wisiały płaszcze i ukryłam się za niemi. W drzwiach ukazał się oficer inspekcyjny. Przy nim lekarz dyżurny i komendant warty. Smuga światła padła na „uśpioną“ twarz chorego. — „Wszystko w porządku“. Zamknęli drzwi, poszli do innych sal. Odetchnęłam.

Na drugi dzień odniosłam uczynnej Niemeczce ubiór szpitalny i serdecznie ucałowałam dobrą i załęknioną.

Wstępne przygotowania poszły pomyślnie. Dalszy plan ucieczki miał być przystosowany do nowych warunków w Marmaros-Sziget, gdzie oskarżeni mieli być osadzeni w najściślejsem więzieniu.

Postanowiliśmy wzorować się na słynnym uprowadzeniu dziesięciu więźniów z Pawiaka w roku 1905.

Omówiliśmy tę sprawę z kapitanem Drewnowskim podczas jego bytności w Huszcie. Miał wysłać z Warszawy porucznika żandarmerji legjonowej Bronisława Witeckiego, dawnego bojowca i wytrawnego konspiratora (dziś już nieżyjącego). W odpowiedniej chwili przed zapadnięciem wyroku zjawi się w więzieniu Witecki w mundurze austriackiego majora (w towarzystwie trzech lub czterech „austriackich” żołnierzy), wylegitymuje się pisemnym rozkazem naczelnych władz sądowych, aby mu wydano kilku uwięzionych oficerów, celem zabrania na dodatkowe przesłuchanie — i jużby potem nikt z Austriaków ani tego „majora” wraz z „żołnierzami” ani tych więźniów na oczy nie zobaczył.

Trzeba było już teraz pomyśleć o austriackich mundurach dla „eskorty” a przedewszystkiem o „autentycznym” rozkazie na piśmie.

Wydrukowano nam w Krakowie podług przesłanego wzoru urzędowe blankiety, w których należało tylko wpisać datę i nazwiska. Tamże zrobiono pieczętki według odbitki z urzędowego oryginału. (Zajął się tem wszystkiem przed swoim wyjazdem na front włoski jeden z naszych najwybitniejszych oficerów, nieobjęty oskarżeniem i procesem, gdy go tylko wypuszczono z obozu internowanych w Talabor-Falva).

Wykradzeni z więzienia Legjoniści mieli być podzieleni na grupki po dwóch i natychmiast wysłani z Marmaros-Sziget, jedni piechotą, górami przez węgierską granicę do Małopolski w przebraniu rusińskich górali, inni jako kolejarze albo

austriacycy oficerowie, znowu inni jako „najcywilniejsi cywile“.

Dla wszystkich potrzebne były odpowiednie ubrania, rewolwery, dokumenty i pieniądze, oprócz tego należało postarać się o przewodników i o zaufanych ludzi, którzyby czekali na zbiegów w umówionych miejscach, aby ich ukryć, przebrać i wysłać dalej. Planowaliśmy wyprawienie niektórych uratowanych nawet na Ukrainę i do Rosji.

Z końcem maja duża część przygotowań była już poczyniona. Miałśmy już blankiety i pieczętki, kilkanaście „otwartych rozkazów“ i ubrania cywilne. Każdego dnia oczekiwaliśmy przysłania broni i mundurów (z Krakowa, ze Lwowa i ze Skolego). Również były już gotowe szyfrowane depesze, zawiadamiające naszych zaufanych w stacjach odbiorczych, że więźniowie uciekli i są w drodze.

Przechowując u siebie takie „corpora delicti“ musiałyśmy — rzecz oczywista — liczyć się z możliwością nagłej rewizji. Uczyły mnie tradycje konspiracyjnej pracy w zaborze rosyjskim, że na kwaterze, w której prowadzi się robotę, nie wolno mieć pod żadnym warunkiem dowodów tej roboty.

Przez szereg tygodni stosowałyśmy się ściśle do tej zasady, lokując dokumenty, listy i ubrania u Legionistów, pozostających w Huszcie na wolnej stopie. Na nieszczęście teraz, gdy dostarczono nam rzeczy „najbardziej kompromitujących“, nasi tutejsi pomocnicy wyjechali ogólnym trans-

portem do Udine, gdzie mieli być wcieleni do kadr armji austriackiej, walczącej z Włochami.

Pisałyśmy na wszystkie strony, do różnych przyjaciół „Komitetu“, żeby nam przysłali kogoś do pomocy. Kogoś, któryby nie był znany ani władzom sądowym ani Schillingowi, kogoś, którego mieszkanie mogłoby nam posłużyć za bezpieczną składnicę.

Niestety mimo naszych próśb i nalegań nikt w tym celu z kraju nie przyjechał.

Musiałśmy radzić sobie same.

W dzień mniej obawiałyśmy się rewizji. Zato co wieczora, gdy się ściemniło, szłyśmy z dość rozdygotanemi sercami do ogródka przy naszym domku i, rozglądając się uważnie dookoła, chowałyśmy plecaki naładowane „tajemnicami“ w krzakach bzów i jaśminów. Zawsze bezpieczniej niż w mieszkaniu. Co było robić?

O świcie zrywałyśmy się niewyspane, aby przynieść do domu „nasze skarby“ i „nasze grzechy“, zanim ludzie obudzą się i wstaną.

W tym czasie po kolei zwijano wszystkie obozy. Jeździłyśmy pożegnać towarzyszków z wojny, kolegów z „kryminału“. Te cztery lata i te cztery miesiące związały nas najsilniejszym węzłem.

Na parę dni przed przewiezieniem oskarżonych z Husztu i z Szeklence do Marmaros-Sziget udało nam się dokonać dosyć zuchwałego czynu.

Wysłałyśmy do Krakowa — naturalnie była w tem wielka zasługa kapitana Galika — cały wagon zapelniony prywatnemi bagażami oficerów

z owych dwóch obozów. W tych bagażach oprócz futer i niepotrzebnej już ciepłej bielizny mieściły się też listy, aparaty fotograficzne, pamiątki i zapiski z frontu, różne „nielegalności“, nienadające się dla austriackich cenzorów.

Jadąc na bardzo niepewne losy więzienne, chcieli nasi oficerowie odesłać to do swoich domów. (Rozesłaniem z Krakowa mieli się zająć tamtejsi wypróbowani przyjaciele Legjonów).

Ten bagaż był nadany nie przez byle kogo, bo przez samego feldmarszałka-porucznika Schillinga.

Osobne pismo „Ekscelencji“ do władz kolejowych było zupełną gwarancją, że wagon z rzeczami Legjonistów najpewniej dojedzie na miejsce przeznaczenia.

Mistrz Funio Felsztyński znów stworzył arcydzieło.

Co za radość była z tej wiadomości, że nasz wagon, doczepiony do pociągu osobowego „na rozkaz Schillinga“, z wszelkimi honorami zajechał do kraju.

IX.

Aresztowanie.

Nadszedł już, niestety, ten smutny dzień wyjazdu wszystkich oskarżonych do więzienia w Marmaros-Sziget.

Mój mąż w tym czasie zachorował, ostatnie dni maja przeleżał w szpitalu w Huszcie. Odwiedziłam go tam, oczywiście w towarzystwie audytora wojskowego, i cieszyłam się, że, chociaż chory, przynajmniej trochę wypocznie, wyleży się na łóżku po tylu miesiącach spania w ciasnocie i na twardej pryczy. W Marmaros-Sziget miał być narażenie także umieszczony w szpitalu wraz z kilku kolegami.

Pod wieczór 28-go maja przyprowadzono na stację w Huszcie w otoczeniu kompanji austriackiej piechoty kilkudziesięciu naszych oficerów i podoficerów oraz kilku żołnierzy.

Pomimo wszelkich przeszkód i trudności, jakie nam czyniono, dostałyśmy się na peron, pożegnałyśmy się z odjeżdżającymi i w zamęcie pożegnań zdążyłyśmy zrobić kilka zdjęć fotograficznych, aczkolwiek austriaccy żandarmi ciągle koło nas się kręcili.

W przeddzień wyjazdu — a więc już prawie w ostatniej chwili — przysłali nam oskarżeni listy do rodzin z pożegnaniem, testamenty i paczki z najbardziej osobistymi pamiątkami. Tośka miała w najbliższych dniach odwiedzić to wszystko do Lwowa do „Opieki Legionowej“.



Wyjazd uwięzionych z Husztu do Marmaros-Sziget.
W środku pułk. dr. Rogalski, „Siostra Tosia”
i „Siostra Zosia”.

Następnego dnia (29-go maja) po południu siedziałyśmy w naszym mieszkaniu smutne i zadowolone, narazie niemające już nic do roboty, gdy „nasi chłopcy“ wyjechali. (Miałyśmy już wprawdzie wynajęty pokój w Marmaros-Sziget,

ale z łatwo zrozumiałych względów musiałyśmy jeszcze tutaj parę dni przeczekać). Pukanie. Zjawia się agent policyjny i wręcza nam urzędowe pismo, że w ciągu dwudziestu czterech godzin mamy opuścić Węgry. Zagroził nam, że gdybyśmy odważyły się przyjechać do Marmaros-Sziget, żandarmerja zaaresztuje nas zaraz na stacji i odstawi do granicy. Pokazałam mu pozwolenie z ministerstwa, że możemy swobodnie przebywać na Węgrzech. Wzruszył pogardliwie ramionami: „To pozwolenie już nieważne“. Dał nam do poznania, że unieważniła je w ministerstwie „jakaś wysoka figura“. Wyczuwałyśmy tu „złośliwą rączkę“ eks-celencji Schillinga. Wkońcu wyjaśnił mi agent, że podczas procesu Legjonistów wogóle żadnemu obcokrajowcowi nie wolno mieszkać w komitacie Marmaros-Sziget, chyba, że ministerstwo spraw wewnętrznych w drodze wyjątku komuś specjalnie na to zezwoli.

Zrozumiałam, że natychmiast muszę jechać do Budapesztu, żeby takie wyjątkowe zezwolenie otrzymać. Było niemożliwością w ciągu jednego dnia pojechać, załatwić sprawę i wrócić. Wytłumaczyłam to agentowi i poparłam to tłumaczenie pudełkiem dobrego tytoniu, którego nie było w sprzedaży. Wobec tego agent zgodził się, żebyśmy pokwitowały odbiór urzędowego wezwania datą nie dzisiejszą, ale jutrzejszą. Wyjaśni w swoim urzędzie, że nie zastał nas w domu i doręczył nam pismo dopiero dnia następnego.

W nocy udałam się w drogę.

Rano w Budapeszcie odszukałam zaraz naszego przyjaciela barona Sintinisa. Nie zawiodłam się na jego niezwykłej i jak zawsze najserdeczniejszej uczynności. Poszedł ze mną do ministerstwa spraw wewnętrznych, dotarł do odpowiednich biur, dostał najbardziej formalną obietnicę, że pozwolą nam spokojnie przebywać w Marmaros-Sziget. Pismo tej treści miało być wysłane nazajutrz pod moim adresem, gdyż z powodu wyjazdu któregoś z dygnitarzy ministerjalnych nie można już było tego dnia uzyskać podpisu. Ja zaś czekać w Budapeszcie nie mogłam, bo obawiałam się, że moje koleżanki będą tymczasem odstawione do granicy.

Zapewniono mnie uroczyście w ministerstwie, że nie wydano stamtąd żadnego rozporządzenia, wydającego nas z Węgier, że to sprawa władz miejscowych, obiecano natychmiast uwiadomić telefonicznie żupana w Marmaros-Sziget i policję graniczną, że mamy prawo swobodnego pobytu w całym tamtejszym komitacie.

(Okazało się później, że „władze miejscowe“, stojące na baczność przed austriackim feldmarszałkiem, niewiele sobie robiły z rozporządzeń węgierskiej centrali w Budapeszcie).

Narazie byłam pewna, że żadna przykrość nas już nie spotka, chociaż wiedziałam, że sąd i kancelarja Schillinga chcą nas za każdą cenę z Marmaros-Sziget usunąć.

Cieszyłam się, że im to się nie uda.

Zadepeszowałam z Budapesztu do Husztu, żeby moje towarzyszkę wsiadły rano do pociągu,

którym będę przejeżdżała, i razem ze mną pojechały do Marmaros-Sziget.

Wraz ze mną wyruszył niezawodny w przyjaźni i pełen ofiarnego poświęcenia baron Sintinis.

Na stacji w Iluszcie obie na mnie czekały, ale wsiadła tylko Tośka. Wisia musiała jeszcze pozostać do dnia następnego, celem ostatecznego zlikwidowania naszego „magazynu“.

Byłyśmy dziwnie smutne i wzruszone, gdyśmy dojeżdżały do Szigetu. Czułyśmy, że coś złego nas tam czeka. Ale nie myślałam, że to nastąpi tak prędko.

Przyjechałyśmy prawie o świcie. Miasto jeszcze puściuteńkie. Pierwszą osobą, spotkaną na ulicy, był żandarm we wspnianym zielonym pióropuszu. Zły omen.

Nowe mieszkanie na Ipar utcza 25. Krótkośmy tam mieszkały, ale jakże głęboko wbiła nam się w pamięć ta nasza najsmutniejsza kwatera.

Spotkałyśmy się z porucznikiem Grabowskim i posłaliśmy do generała Zielińskiego: „Komitet“ melduje się do dalszej służby.

Posłaliśmy zobaczyć gmach więzienny. Ciężkie, przygniatające wrażenie.. Jakby kto kładł nam na piersi głaz za głazem... Wysokie, szare mury, zda się nieprzebitej grubości. Małeńkie zakratowane okienka. Za nami nasi.

Z powodu niedzieli nie mogłam dostać pozwolenia na odwiedzenie mojego męża w szpitalu. Panowie audytorzy świętowali.

Nazajutrz rano (pamiętny dzień 3-go czerwca) poszliśmy do kawiarni hotelu „Korona“. Oczekiwali nas tam obrońcy oskarżonych. Razem z nimi do sądu... Kapitan Ustjanowicz obiecał mi, że o 5-ej pójdzie ze mną do szpitala.

W południe przyjechała Wiśka. Przywiozła na Ipar utcza tylko osobistą walizkę, zaś skrzyn-



Więzienie w Marmaros-Sziget.

kę z „tajemnicami“, wysłaną z Husztu jako bagaż, tymczasem zostawiła na dworcu. Miałyśmy ją odebrać dopiero wtedy, gdy się zorjentujemy w bezpieczeństwie naszej sytuacji w Szigecie.

Baron Sintinis, niezmordowany, szlachetny przyjaciel, całe przedpołudnie biegał po wszystkich możliwych urzędach i podczas obiadu obwieścił

nam rezultat swoich starań: nie potrzebujemy nigdzie się meldować, był u żupana i w policji, zawiadomił kogo należy, żeśmy przyjechały, możemy być spokojne, sprawa pozwolenia na pobyt w Szigecie jest definitywnie załatwiona. (Ładnie załatwiona! Barona omotano gładkimi słówkami, a Schilling „ostrzył pazury“ na „Komitet“, któremu w swojej menaży oficerskiej dał nazwę „Komitetu pomocy do ucieczek“).

Po południu wycieczka do szpitala daleko za miastem.

Ten szpital mieścił się w prowizorycznym baraku, nader marnie i biednie urządzonym.

Marnie i nędznie wyglądał mój chory, wychudzony, z zapadniętymi oczami. Na kocu, którym był przykryty, leżał akt oskarżenia. Otrzymał go mój mąż dnia poprzedniego. Rozumie się, że i on, jak wszyscy inni, nietylko pod zarzutem zdrady stanu, buntu, napadu na przełożonych, ale nawet „kradzieży“ i „morderstwa“.

Ucieszył się bardzo, całkiem nie wiedział, że już wróciłam z Budapesztu.

Nie wiedział też, że nazajutrz o tej porze powie mu któryś z przerażonych kolegów: „Twoją żonę w nocy najbrutalniej aresztowali węgierscy żandarmi“.

Ale jakby przeczuwał...

Nigdy nie prosił o przedłużenie naszych kwadransowych rozmów, nie chcąc niczyjej łaski. Dzisiaj pierwszy raz poprosił o to kapitana Ustjanowicza. Odchodząc, zdjęłam mu binokle z oczów

i ucałowałam te smutne oczy. Szły za mną, coraz smutniejsze...

Wieczorem na kolacji w „Koronie“ zebrało się liczne towarzystwo. Wszyscy obrońcy, generał Zieliński ze swą kilku oficerów, „niby na wolnej stopie“, (pułkownik dr. Rogalski, kapitan dr. Korolewicz, kapitan Henryk Pomazański, dzielny dawny „Karpatczyk“). Muzyka grała skoczne węgierskie czardasze, potem na naszą intencję „wieniec pieśni polskich“. (Co za potworny paradoks! O kilka ulic polscy oficerowie za kratami!). Każda nuta dźwięczała mi bólem w sercu, każdy akord drażnił mnie i coraz bardziej rozstrajał.

Rozeszliśmy się z tem, że — jak było umówione — Tośka pojedzie jutro na parę dni do Lwowa i Krakowa.

Odprowadzili nas na tę nieszczęsną Ipar utcza pułkownik Rogalski i kapitan Pomazański. Zaczyna „Dziadzio Wojtuś“ przestrzegał nas proroczo: „Uważajcie, człeczki kochane, te Madziary z wszystkich stron pilnują was i śledzą“.

Zmęczone i zdenerwowane położyłyśmy się obie z Wiśką do łóżek. Tosia zrzuciła suknię i w negliżu zabierała się do pakowania.

Było już po jedenastej. Nagle zastukano do drzwi. Wisia mówi: „To pewnie Tadzio Grabowski. Nie wiem, czemu nie zjawił się w „Koronie“, przynosi jeszcze teraz listy do Krakowa...“ Tośka idzie do drzwi, otwiera je z klucza, uchyla, cofa się, zmieniona na twarzy, szepcze: „Żandarmi“. Wierzyć nie chciałam, myślałam, że żartuje. Spojrzałam na nią, zrozumiałam, że to prawda.

Weszło trzech, jeden za drugim. W zielonych pióropuszech, zamaszysci, tędzy, hałaśliwi. Umieli tylko parę słów po niemiecku.

— Ubierać się, na policję!

— Proszę wyjść z pokoju, to wtedy się ubierzemy!

Nie wstawaliśmy z łózek. Tośka nagwałt czemś się osłoniła.

Żandarm otworzył okno. Gwizdnął. Wpadło do pokoju jeszcze sześciu drabów. Jeszcze trzech żandarmów i trzech tajnych agentów po cywilnemu. Jeden z nich mówił biegle po niemiecku. Klóciłam się z nim, żeby wyszli, bo inaczej nie wstaniami. Klótnia krótka i daremna.

Przykładają mnie i Wisi bagnety do piersi, szarpią za brzegi kołder.

Nie miałyśmy już żadnej rady.

Krzyknęłam do Wisi:

— Wstawajmy, trudno bić się z chamami!

Zaczęłyśmy się ubierać, siedząc na łózkach, przysłaniając się kołdrami. Na nocne koszule wciągałyśmy sukienki. Obok nas natłok, wrzaskliwy gwar, z którego nic nie rozumiemy. No i nie bardzo pachniało od tych wszystkich spoconych uniformów.

Zawołałam do agenta, umiejącego po niemiecku:

— Niechże pan wyrzuci przynajmniej kilku z tej bandy, ruszyć się tu i odetchnąć nie można!

Wrzasnął coś po węgiersku, dwaj czy trzech wyszli.

Ubierając się, starałyśmy się ukryć pod sukniami najbardziej kompromitujące papiery. Zjadłyśmy na miejscu kartki z szyframi i cieniutkie depesze, przygotowane do wysłania w momencie wykradzenia więźniów. Po drodze do urzędu policyjnego, korzystając z ciemnej nocy, darłyśmy na najdrobniejsze strzępki listy generała Rozwadowskiego i pułkownika Sikorskiego, tajemną korespondencję z Warszawą i ze Lwowem, owe „urzędowe“ blankiety... A jednak została jeszcze na naszej kwaterze cała masa dokumentów, które nie tylko nas obciążały.

Ta kwatera, zamknięta przez żandarmów, już pod ich najściślejszą kontrolą.

W miejskim urzędzie policyjnym spisał z nami protokół naczelnik urzędu, wysoki, suchy brunet, ubrany po cywilnemu, zgryźliwy i zanedbany. Zażądałam wpisania do protokołu zażalenia na brutalne zachowanie się żandarmów. Wprawiło to zgryźliwego inspektora w jeszcze gorszy humor. Zapytałam go następnie o powód naszego aresztowania. Odpowiedział, że jesteśmy „zatrzymane“ do dyspozycji władz administracyjnych i że ma rozkaz odesłać nas do policji granicznej.

— Towarzystwo tam w celach nieszczegółne — rzekł ze złośliwym uśmiechem. — Złodzieje i kobiety uliczne. Pozwolę wam przez tę noc tutaj pozostać, o ile specjalnie, na piśmie mnie o to poprosicie.

Trzeba było zgodzić się na szykanę złośliwca.

Przy jego własnem biurku napisałam taką prośbę w imieniu nas czterech (zastałyśmy bowiem

w tym urzędzie aresztowaną kilka godzin przed nami pannę Halinę Romanównę. Zachowywała się bardzo dzielnie i, zarówno jak my, nie traciła fantazji).

Inspektor wydał polecenie, żeby nas zaprowadzono do „Mannschaftszimmer“ (Izba dla szeregowców). Rozumie się, myślałam, że będzie to izba zupełnie pusta. Gdy drzwi się otworzyły, zobaczyłam dużą niską salę, oświetloną małym kagankiem, i kilkunastu policjantów porozbieranych i rozespanych na pryczach. Tu i ówdzie widać było kilka posłań niezajętych, lecz zato ohydnie brudnych.

Zakipiało we mnie oburzenie. Zawróciłam, pobięłam do kancelarji, za mną moje towarzyszki i warta. Chwyciłam naszą prośbę, leżącą na biurku, podałam i cisnęłam inspektorowi pod nogi.

— Mój panie, trzeba nie mieć wstydu ani honoru, żeby nam taki nocleg ofiarować! Jesteśmy sanitariuszkami pod opieką Czerwonego Krzyża, jesteśmy żonami i siostrami oficerów! Niech pan nas każe natychmiast odprowadzić do policji granicznej! Dziękujemy za pańskie dobrodziejstwa!

Wychodząc, powiedziałam jeszcze inspektorowi:

— Nie wiedział pan, że jestem synową wiceprezydenta parlamentu austriackiego. W tym parlamencie będzie wniesiona interpelacja, jak traktuje się polskie sanitariuszki w węgierskich urzędach.

(Interpelacji takiej nie było, bo ani wtedy, ani później nie miałam żadnej możności uwiadomić o tem mojego drogiego teścia, którego kocha-

łam jak ojca. A gdybym nawet miała tę możliwość, tobym z niej nigdy nie skorzystała, gdyż ojciec mojego męża, w złym stanie zdrowia, już i tak dosyć się martwił więzieniem i procesem swego jedynego syna. Te moje słowa — jak się później przekonałam — w każdym razie trochę pomogły).

Szliśmy z żandarmami na tę policję graniczną. Była już druga w nocy. Zimno, deszcz.

W tym nowym urzędzie kazano nam czekać w sieni. Usiadłszy wszystkie cztery na żelaznej ławce ogrodowej.

Po dłuższej chwili ukazał się jakiś oficer, który był obecny przy poprzedniej scenie z inspektorem. Z zadziwiającą uprzejmością zaprosił nas do swego biura, urządzonego nadzwyczaj wygodnie. Miękkie fotele i kanapy... Znowu mamy tu czekać, niewiadomo na co.

Czekaliśmy.

Bezustannie dręczyły nas myśli: co będzie z „tajemnicami“, które pozostały na Ipar utcza i w przechowalni bagażowej na stacji? A ja miałam dodatkowo jeszcze gorszą udrękę: jak przyjmie tę wiadomość mój chory więzień?

Minęła godzina albo dwie... Niespodziewanie przychodzi ów złośliwy i zgryźliwy inspektor policyjny. Minę ma mdłą i dosyć niewyraźną. Niezgrabnie wyciąga do mnie rękę. Podnoszę brwi, ostentacyjnie krzyżuję ręce na plecach. Tłumaczy się, jak zmyty, że nie chciał nas obrazić, że miał takie polecenie...

— Coby pan na to powiedział, gdyby pańską żonę lub córkę poważono się tak potraktować?

Korzystacie z tego, że nasi mężowie i bracia są uwięzieni i nie mogą za nami się ująć. Pańskie przeproszenie zupełnie już teraz zbytczne...

Wycofał się z miną już całkiem niewyraźną.

W tem biurze doczekaliśmy się ranka. Nieumyte i zmęczone oświadczyliśmy dyżurnemu policjantowi, że jesteśmy głodne i że pójdziemy do cukierni na śniadanie. Tak go zaskoczył nasz ton kategoriyczny, że odrazu się zgodził. Do eskorty przydał nam dwóch agentów.

Poszliśmy po staremu do kawiarni hotelu „Korona“. Tam udało nam się przyłapać mecenasa Dwernickiego. (Agenci siedzieli przy osobnym stoliku, jedząc i pijąc na nasz rachunek). Wcisnęliśmy mecenasowi ukradkiem do ręki kwit bagażony na skrzynkę, w której mieścił się nasz cały „warsztat tajemny“ i trochę moich osobistych drobiazgów.

— Musi to mecenas uratować, nie może to się dostać w ręce Schillinga!

Wróciwszy do policji granicznej, napisałam list do barona Sintinisa. Dowiedziałyśmy się później, że baron mój list otrzymał, ale że równocześnie z listem przyszli do niego policjanci i chcieli przeprowadzić rewizję. Energiczny garbusek wpadł w pasję i wyrzucił policjantów za drzwi, legitymując się jako członek węgierskiej Izby Pannów. Poruszał niebo i ziemię, żeby nas uwolnić. Niestety Schilling był silniejszy.

Dopiero o trzeciej po południu zabrano nas na Ipar utcza. Z policji ruszyła cała karawana: komendant straży granicznej, kapitan von Gauder-

nack, dwóch młodszych oficerów, żandarmi, agencji, strażnicy.

Rewidowano nasze mieszkanko od podłogi do sufitu.

Pomimo takiej tłumnej policyjnej zgraji, następującej nam na pięty, potrafiłyśmy jeszcze ukryć i usunąć niektóre papiery. Tośka schowała niepostrzeżenie kilka „otwartych rozkazów“, poszła do kuchni, umyła ręce i razem z wodą z miednicy chciała wylać do kubła owe nieszczęsne i zamoczone dokumenty. Przychwyciła ją na tem nasza gospodyni, która — jak się okazało — była żoną żandarma. (Dobrześmy się ulokowały!). Biedactwo Tośka z wielką godnością i odwagą sama zanosła te marszruty kapitanowi i podkreśliła z naciskiem, że te papiery wyłącznie do niej należą, że myśmy nic o nich nie wiedziały. Kapitan Gaudernack natychmiast z wielką skwapliwością to jej zeznanie zanotował.

Wszystkie paczki w naszym mieszkaniu, oprócz naszej garderoby i bielizny, stały się łupem policji.

Cała karawana wróciła, obciążona zdobyczą.

Następnego dnia ceremonia spisania protokółów. Wyliczono w nich wszystek plon rewizji i jako okoliczność specjalnie obciążającą podano, że w podręcznej torebce Tosi znaleziono „otwarty rozkaz podróży“, wystawiony dla niej i podpisany przez Schillinga.

Po protokółach odbyła się rewizja osobista. Zamknięto nas trzy w małym pokoiku wraz z kobietą-konfidentem policji, grubym babskiem w czar-

nym fartuchu, z zieloną opaską na rękawie. Było to nad wszelki wyraz przykre i nieznośne. Osładzałyśmy sobie tę „złą godzinę“, dowcipkując na temat tępoty naszych wrogów, dzięki której mogliśmy zniszczyć i usunąć najważniejsze papiery.

Wskutek mego energicznego żądania odstawiono nas na tę noc do naszej kwatery na Ipar utcza. Przed drzwiami i przed oknem umieszczono posterunki strażnicze.

Przekonałyśmy się, że podczas naszej nieobecności robiono znowu gruntowną rewizję. Nawet piec ze szczętem rozebrano.

Aż do końca naszego pobytu w Marmaros-Sziget nocowałyśmy już zawsze w naszym fatalnem mieszkaniu u „pani żandarmowej“. Na cały dzień zabierała nas straż na policję graniczną. Siedziałyśmy w jakiejś kancelarji, nudząc się nad pojęcie i rozgryzając w sobie zmartwienia. Krzesła były zajęte przez kancelistów, dla nas jako „kanapy“ pozostawały worki ze skonfiskowanym na granicy przemylem.

Z musu przysłuchiwałyśmy się bezdennie głupim i płaskim rozmowom i żartom strażników i żandarmów. Dziwiłyśmy się poufałej zażyłości oficerów z agentami policji. I jedni i drudzy mieli w tem swój interes.

Przez cały długi, najdłuższy dzień czekałyśmy na jakąś jedną minutę, któraby rozstrzygnęła o naszym losie.

Tegoż dnia (5-ty czerwca) zupełnie zwolniono pannę Halinę Romanównę. Nie zdołano jej udowodnić i nie wykryto, że z nami współdziałała.

Ucieszyło nas, że przynajmniej jedna ofiara wyrwała się z Schillingowych szponów.

Prosiłyśmy ją, gdy się z nami żegnała, żeby zawiadomiła o naszym aresztowaniu „Opiekę legjonową“ oraz panią Jędrzejowiczową we Lwowie, Naczelny Komitet Narodowy i pułkownika Sikorskiego w Krakowie. Niech natychmiast przestaną do nas pisać, bo całą naszą korespondencję przejmują już z pewnością władze policyjne. Prosiłyśmy ją jeszcze, niech powie obrońcom, żeby koniecznie dalej prowadzili zaczęta przez nas „akcję uciezkową“, że — pókiśmy mogły — spełniałyśmy do końca wszystko, cośmy uważały za swój obowiązek. Przrzekła nam, że się zaraz skomunikuje z naszymi rodzinami i bez wielkich alarmów poinformuje ich o naszych tarapatach.

Rozpaczliwie dłużył się nam dzień w tej policji granicznej. Miałyśmy do wyboru: albo wysiadywanie na workach w dusznej i stęchłej kancelarji, albo przechadzkę po maleńkiem podwórzu, gdzie znowu nie było na czem usiąść.

Dotarł tu do nas, na to policyjne podwórko, mecenas dr. Dwernicki. Utorowały mu drogę i powaga prezencji (nazywałyśmy go „smętnym Arabem“), i wytrawne doświadczenie świetnego adwokata, i przemyślna śmiałość „lwowskiego dziecka“.

Zaraz się zapytał, czyśmy już były przesłuchiwane.

— Odmówiłyśmy zeznań w policji, powiedziałyśmy, że będziemy zeznawać tylko w sądzie i tylko po polsku.

— Powiedziałyście mądrze i dobrze. Jak chcecie zeznawać?

— Chcemy zeznać całą prawdę. Wpadliśmy z kretesem, to już pewne. Trzeba więc teraz wziąć na siebie odważnie pełną odpowiedzialność.

Drogi nasz mecenas zachnął się z irytacją.

— Nie bądźcie głupie gęsi! Egzaltacja, przezczenie, zbyteczny heroizm! Nie warto ginąć i marnieć z powodu idjotycznej i rozsypującej się Austrii. Ułóżcie sobie bajeczkę: Nie miałyście o niczem pojęcia, wszystkie dokumenty i listy dostałyście w ostatnim dniu wyjazdu więźniów z Husztu, nie wiedziałyście, co paczki zawierają, przynieśli je ordynansi z obozu. Niech ładniutka panna Krzymuska odwoła swoje oddzielne a takie mężne zeznanie o marszrutach...

W pierwszej chwili może się i trochę uraziłam. Później przyszedł jednak do wniosku, że mecenas znacznie lepiej, niż my, orjentuje się w sytuacji i że należy go słuchać.

— Panie mecenasie, ale pan się postara, żeby naszą sprawę połączono z procesem Legjonistów i żebyśmy odpowiadały przed sądem wojskowym, a nie cywilnym.

— Bądźcie, aniołeczki, spokojne, zrobimy, co się da. Teraz już wiemy napewno, że Schilling kazał was aresztować naprzekór wszystkim poczywym Węgrom. Okropnie zawzięła się na was ta nadęta figura, mści się, jak tylko może...

Udzielił mi jeszcze dr. Dwernicki najważniejszej dla mnie informacji: Mój mąż, dowiedziawszy się o mojem aresztowaniu — piorunem rozeszła

się ta wieść pośród Legjonistów — zażądał, żeby ze szpitala odstawiono go natychmiast do więzienia. Miał nadzieję, że tam łatwiej czegoś o mnie się dowie i może w czymś potrafi mi pomóc.

Dałam mecenasowi list do Julka, już poprzednio napisany.

Nazajutrz rano znowu prowadziła nas warta z Ipar utcza na policję. Naprzeciw nas idzie elegancki i wyświeżony austriacki porucznik. Przecież to nasz znajomy, adjutant Schillinga! Biedak, zupełnie nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Uciekłby pewnie najchętniej, ale już zapóźno. Mijając nas, podniósł rękę do daszka czapki i długo salutował z szacunkiem. Odkłoniłyśmy się grzecznie. Był to przecież dobry chłopak i nigdy nie uczynił nam żadnej przykrości. Zawołałam wesoło:

— Niech pan od nas podziękuje swojej „Ekscelencji“!

Spuścił głowę. Wiedział, że na Węgrzech nie wolno prowadzić kobiet pod bagnetami, nawet po wyroku sądowym, że to jego przełożony za nic ma sobie przepisy, gdy mu chodzi o prywatną zemstę.

Jedyną naszą rozrywką podczas dnia był obiad, który nam przysyłano z restauracji na polecenie pułkownika Rogalskiego. Porucznik Grabowski zawsze coś dołączał: papierosy, słodyczne lub owoce.

Bezwarunkowo najgorszym wspomnieniem z tych złych pięciu dni, spędzonych w urzędzie policji granicznej, był szef tego urzędu, kapitan von Gaudernack.

Poprostu stwórz bez cienia kultury, a nawet człowieczeństwa.

Czuł tę moją milczącą pogardę i antypatję. Przyprowadzało go to do wściekłości.

Wchodzi kiedyś do kancelarii. Siedzimy na workach.

— German, aufstehen! (wstać) — wrzasnął na całe gardło.

— Dla pana jestem pani Germanowa — odpowiedziałam ostro, nie ruszając się z miejsca.

Gdy raz i drugi potrafiłam odciąć się chomwi jak należy, zaczął być mniej ordynarny. Ale złości i nienawiści się nie pozbył.

Jednym z najgłówniejszych powodów jego pasji była sprawa marszruty Tośki z podpisem Schillinga. Ekscelencję żółć zalewała. Byłby przysiągł, że to jego najrodzeńsze pismo, a przecież wiedział doskonale, że takiego dokumentu podróży nigdy w życiu nie podpisał. (Brawo, Funiu, arcymistrzu!). Dał najsurowszy rozkaz Gaudernackowi, aby koniecznie wyśledził sprawcę tego przestępstwa. Tymczasem Tośka na wszystkie pytania odpowiadała z najniewinniejszą miną, że dostała marszrutę od Schillinga, przecież jest jego podpis.

W sobotę w południe, 8-go czerwca, kapitan Gaudernack kazał nas zawołać do swego biura.

Stojąc w niedbalej pozie, z ręką w kieszeni, oświadczył nam, że jesteśmy oskarżone o ułatwianie ucieczek więźniom stanu, którym grozi kara śmierci lub długoletniego więzienia, o działanie na szkodę armji austro-węgierskiej, o wykradanie urzędowych dokumentów i fałszowanie podpisów,

że przeprowadzona u nas rewizja dostarczyła aż nadto dowodów tych wszystkich zbrodni, że znaleziono w naszych rzeczach nawet środki usypiające (chloroform, eter, różne inne lekarstwa, resztki apteczki, przysłanej ze Lwowa), że więc miałyśmy bezwątpienia jakieś najniegodziwsze zamiary...

— Wobec tego aresztuję panie i zawiadamiam, że dziś wieczorem będziecie przewiezione do więzienia w Koszycach.

— Przyjmujemy to do wiadomości — rzekłam spokojnie. — Ale przed wyjazdem żądam widzenia się z mężem.

— Aresztowanym nie wolno niczego żądać. Co najwyżej mogą prosić.

— Więc proszę.

— A ja odmawiam.

— Nie ma pan prawa mi odmówić. Nawet Moskale, których uważacie za największych barbarzyńców, pozwalali skazanym pożegnać się z najbliższymi. I ja, i mój mąż nie jesteśmy jeszcze skazani, jesteśmy dopiero oskarżeni. Proszę mnie natychmiast kazać zaprowadzić do sądu. Tam dostanę pozwolenie, bo mam do tego prawo.

— Porozumiem się z sądem. Proszę odejść.

Minęło parę godzin, podczas których nerwy były wystawione na ciężką próbę.

Wezwano mnie samą do gabinetu kapitana von Gaudernacka.

— Tutejszy naczelny audytor, major Hannel, dał pani pozwolenie na widzenie z podporucznikiem Legjonów, Germanem, dziś o godzinie piątej. Pójdzie tam pani ze mną.

— Dziękuję.

Ta piąta godzina nie chciała nadejść. Nie odrywałam oczów od zegarka. Czwarta, wpół do piątej, trzy na piątą...

Zamiast wstrętnego Gaudernacka wszedł młody jednoroczny ochotnik o miłej i życzliwej twarzy.

— Kapitan von Gaudernack rozkazał mi towarzyszyć pani do sądu.

Jakże byłam rada, że kapitanowi odechciało się iść ze mną.

W sądzie oczekiwał mnie audytor Ustjanowicz. Podszedł do mnie, uścisnął mi dłoń:

— Zaprowadzę panią do gabinetu majora Hannela i pójdę po męża pani.

Zostawił mnie w pustem biurze.

Po chwili wszedł major. Był to ten sam sędownik, z którym zetknęliśmy się w lutym w Kłomy.

— Pozwalam pani na pięciominutową rozmowę z mężem pod warunkiem, że będziecie mówić po niemiecku i że ani słowem nie nadmienicie o swoich sprawach sądowych. W przeciwnym razie natychmiast rozmowę przerwę. Zastosuje się pani do tego?

— Zastosuję się. Czy wolno mi powiedzieć mężowi, że dziś wieczorem mamy być wysłane do Koszyc?

— Nie potrzeba. Już dość zmartwień ma mąż przez panią.

— Nasze zmartwienia są naszą prywatną sprawą. Pan major zechce do nich się nie mieszać.

A jeżeli pan tak ubolewa nad moim mężem, to właśnie bardzobym go uspokoiła, gdybym mu powiedziała, co ze mną będzie.

— Nie zgadzam się.

— Dobrze, więc nic mu nie powiem.

Stałam przy oknie, odwrócona bokiem do majora, starałam się zebrać wszystkie siły, żeby opanować wzruszenie. Powtarzałam sobie w myśli: „Bądź spokojna, zachowaj swoją godność wobec tych nieżyczliwych... Połknij łzy, pilnuj głosu, by nie zadrżał...

— Pani bardzo zdenerwowana. Może szklankę wody albo papierosa...?

— Bardzo dziękuję i za jedno, i za drugie.

Kroki na korytarzu. Drzwi się otwierają. Wchodzi szybko Julek, taki blady, jakim go jeszcze nigdy nie widziałam. Za nim kapitan Ustjanowicz.

Na powierzchni jednego metra kwadratowego stanęły cztery osoby. Major chciał najwidoczniej usłyszeć każde, bodaj najcichsze słowo, obserwować każde drgnienie głosu i twarzy, stał przy mnie ramię w ramię. Ustjanowicz niechętnie, na wyraźny i ostry rozkaz Hannela umieścił się tuż obok więźnia.

Jak tu się uściskać, co i jak mówić?

— Juleczku, bądź o mnie spokojny. Jestem zdrowa i nic mi się nie stanie. Przyszłam się z tobą pożegnać.

— Dlaczego pożegnać? Czemu ja o niczem nie wiem? Co z tobą chcą zrobić? Czy chcą cię stąd wywieźć? Mów mi wszystko...

— Zakazano mi mówić. Może pan kapitan Ustjanowicz potem ci powie. Nie dopytuj się, bo nam przerwą rozmowę.

— Panie poruczniku, — rzekł Ustjanowicz, patrząc na cierpiącą i zmienioną twarz mego męża, — potem powiem panu wszystko, postaram się pana uspokoić.

Jeszcze kilka zdań. Z dusz wyrывa się burza wzruszeń, a mówi się słowa prawie banalne... Major niecierpliwie spojrział na zegarek... A ja pomyślałam: „Dobrze. Skończmy tę straszną rozmowę, póki jeszcze nad sobą panuję, dopóki jeszcze głos mój się nie załamie i łzy do oczu nie napłyną...”

— Panie majorze, — odezwał się niespodziewanie kapitan Ustjanowicz — pani Germanowa nie mówi swobodnie po niemiecku. Ja znam dobrze język polski. Może pan major pozwoli, żeby mówili po polsku.

— Dobrze, ale tylko jeszcze dwie minuty, — mruknął Hannel.

O ileż łatwiej mi było powiedzieć kilka serdecznych, ciepłych, szczerych słów po swojemu, a nie w obcym i wrogim języku.

— Nie słyszymy, za cicho pani mówi — wtrącił się major. — Proszę powtórzyć i przetłumaczyć.

— Powiedziałam mężowi: Uściskaj mnie. Zobaczysz, niedługo oboje będziemy wolni. Nie bój się o mnie, żebym ja nie potrzebowała bać się o ciebie.

Mignęła mi się teraz w oczach twarz stojącego tuż obok kapitana Ustjanowicza. I on był niezwykle blady. Miał zielone cienie koło ust.

Drżały mu te usta. Z urzędu asystował przy wielu naszych rozmowach. Asystowanie przy tej ostatniej w urzędniku obudziło człowieka.

Tego Rusina, prokuratora wojskowego, urzędowego oskarżyciela Legionistów wspominam z szacunkiem.

W powrotnej drodze przychwyciła nas gwałtowna ulewa. Nie miałam się w co przebrać, gdyż wogóle posiadałam wtedy tylko jedną sukienkę. Więc nie chcąc przemoknąć do nitki, poprosiłam mego opiekuna, „jednorocznika“, żebyśmy się schowali w bramie hotelu „Korona“, obok którego właśnie przechodziliśmy. Zgodził się uprzejmie.

Marzyłam o spotkaniu któregoś z przyjaciół. Szczęście mi dopisało. Uciekając przed deszczem, wpadł do bramy jeden z obrońców, dr. Loewenstein.

Krótkie, spieszne informacje, prośby i polecenia...

Przed odjazdem zaprowadzono nas po raz ostatni na Ipar utcza, pozwolono zapakować każdej swoją walizkę z osobistymi rzeczami. Wszystko inne zabrała policja.

Około ósmej wieczorem przyniesiono nam do urzędu policyjnego ciepłą kolację, którą nam przysłał zacny dr. Loewenstein. Pamiętał nawet o bułkach z szynką na drogę... Dla mnie mała paczuszka, zawinięta w bibułkę.

Kapitan von Gaudernack rzucił się na to zawiniątko z chciwością tygrysa. Rozwinął, skrzywił się, oddał mi z pogardliwym lekceważeniem. Był to zwykły, biały, batystowy kołnierzyk. Dla

niego — głupia drobnostka. Dla nas — bezcenny dowód, że skrzynka z „tajemnicami“ uratowana, że nie dostały się w nieprzyjacielskie ręce pieczętki, druki, listy bardzo ważne... Ten kołnierzyk był także w skrzynce. Przysłał mi go dzielny Tadeusz Grabowski. Zrozumieliśmy się bez słów.

Kwit bagażowy, wręczony przez nas dr. Dwernickiemu, pomógł tylko do rozpoznania naszej skrzynki, odzyskać jej za tym kwitem już się nie dało, gdyż była już, jak i my, w łapach policji, zaaresztowana w magazynie kolejowym. Dla Legjonistów niema trudności. Wzięli się do rzeczy Galik z Grabowskim. Mieli swoich ludzi i w austriackich mundurach. Włamano się do magazynu, dla niepoznaki porozbijano wiele skrzyń przeróżnych, a naszą wyniesiono.

O tem wszystkim dowiedziałyśmy się — rzecz jasna — dopiero po kilku miesiącach.

W nocy z ósmego na dziewiątego czerwca odjeżdżałyśmy pod strażą trzech żołnierzy do Koszyc.

Pułkownik Rogalski, porucznik Grabowski, mecenas Dwernicki przyszli na stację, ale nie wpuszczono ich na peron.

Opuszczaliśmy więc Marmaros-Sziget, uwięzione i całkiem samotne. Z nami jechała najcięższa troska o naszych stu trzynastu. Nie udało się nam opiekować się nimi do końca rozprawy i w chwili wyroku otworzyć im drzwi więzienia.

Trwałyśmy, póki się dało, w serdecznej pracy dla Legjonistów, wierne braterskiej dla nich przyjaźni.

X

Koszyce.

Byliśmy więzione parę dni w Mamajowcach, kilka tygodni w Bustya-Haza. Ale jednak dopiero teraz przekonaliśmy się, co to jest prawdziwe więzienie.

Po przyjeździe do Koszyc i po długich wędrówkach od sędziego do sędziego (żaden z nich nie kwapił się do przyjęcia naszej sprawy; niebardzo to miłe gnębić surowem oskarżeniem trzy młode Polki, które niosły pomoc rodakom, więźniom stanu, z narażeniem własnej wolności), po rozlicznych korowodach umieszczono nas nareszcie w „Honved Kerületi Fogház“, ciężkiem więzieniu wojskowem dla dezerterów i najgorszych zbrodniarzy.

Przez pierwsze dwa, trzy dni byliśmy jeszcze ogłuszone i otępione nawałem przejść ostatnich. Doznawałyśmy nawet jakiejś dziwacznej ulgi, że już coś z nami postanowiono, że już się nie poniewieramy między tą okropną kancelarją policji granicznej a Ipar utcza smętnej pamięci. Ogłuszenie powoli mijało. A wtedy z każdym dniem czuło się coraz dotkliwiej upokorzenie, gorycz

i ból: „Jesteś zamknięta na klucz, zaryglowana, gdzie twoja godność człowieka?”

Cela numer piętnasty... Gołe, białe ściany, piec oszalowany blachą, umywalnia, zamykana na cały dzień, a otwarta tylko rano na pół godziny, dwie prycze razem zsunięte, na których spałyśmy w trójkę, stolik i krzeselko, w rogu mała szafka na rzeczy. Nic więcej. Wysoko małe zakratowane okienko, które otwierało się tylko do połowy. Wnet umiało się napamięć każdą plamę na bielonych ścianach, każdą rysę na meblach. Oko daremnie i z rozpaczą szuka czegoś nowego. Oprócz nas jedyni goście w celi to muchy i pająki, które chodzą wieczorami po suficie.

Wieczór i noc znacznie gorsze od dnia. O 7-ej wieczorem „harum“. (Po węgiersku „trzy“). Tak nazywałyśmy kontrolę warty, sprawdzającej obecność więźniów w każdej celi. Wiedziałyśmy, że po „harum“ nie zajrzy już do nas profos ani klucznik. Za to inna przykrość. Przez szybkę w drzwiach („judasza“) zagląda od czasu do czasu strażnik z korytarza. Jak to męczą, że wciąż podpatrują! Zasłaniamy „judasza“ papierem, przypiętym szpilką, zakrywamy chusteczką. Strażnik irytuje się na te zasłony, każe je zdejmować. Zdejmujemy, a potem z konsekwencją i uporem zawieszamy je na nowo.

Całą noc pali się jasno lampka elektryczna u sufitu. Zgasić jej nie można, bo kontakt na korytarzu. Czasem podoficer inspekcyjny usłucha naszych próśb, zlituje się i gasi, ale zwykle pali się światło aż do rana. Trudno w tych warunkach

spać, wstajemy z bolącemi oczami, niewypoczęte, zmęczone. Nie mamy wcale poduszek ani sienników. Leżymy na wiórach drewnych, przykrytych kocem, a dwoma kocami we trzy się nakrywamy. Jeszcze największy talent do spania miała Wisia, mimo że w nocy „mieszkała w rowku“, to jest w środku zsuniętych łóżek.

Budzą przeraźliwym dzwonkiem już o piątej i zaraz każą wstawać.

Przychodziła młoda cyganka-kryminalistka (oczywiście pod wartą), sprzątała i zamiatała celę, bo to nam przynajmniej przyznano, że jako żona i narzeczone oficerów byliśmy na oficerskich prawach i od wszelkich grubszych robót więziennych zwolnione. Przynoszono nam też jedzenie do celi, podczas gdy inni więźniowie, według numerów cel, musieli w korytarzu wyczekiwać w ogonku, aż im żywność z kotła wydadzą.

Na śniadanie dostawałyśmy w metalowych, ohydnych miseczkach płyn, najniesłuszniej zwany kawą. Była to niemożliwa lura, zrobiona z palonej fasoli, której wielkie ziarnka pływały nieraz na wierzchu. Do tego cienka kromka chleba, która musiała wystarczyć na cały dzień. (Już poprzednio pisałam, że w tym czasie dawał się odczuwać na Węgrzech dotkliwy brak chleba).

Trzeba teraz było zapłacić szereg godzin, które dzieliły nas od spaceru o jedenastej.

Więc najpierw trochę gimnastyki dla utrzymania się w formie i pozbycia się więziennej ociężałości. Małe walki z Wisią, która lubiła „zapadać w sen zimowy“ i najchętniej cały dzień przeleża-

łaby i przespała, czegośmy jej zresztą obie gorąco zazdrościli.

Potem przychodził klucznik, przynosił kartkę i ołówek, bo oficjalnie nie wolno nam było posiadać przyborów do pisania. Pisałam, co mają nam kupić na poprawę więziennego wikt. Pieniądze nasze były w kancelarji „Foghazu”. Zabrano nam je wraz z zegarkami i pierścionkami. Tylko mnie pozostawiono ślubną obrączkę.

Szyło się, naprawiało, układało pasjanse, doprowadzało zaniedbane w ostatnich czasach panokcie do porządku i elegancji. Ale skąd nożyczki, pilniczki, igły i karteczki? Otóż tu znowu „przechytrzyliśmy” surową czujność naszych dozorców. Żałowaliśmy się, że nie mamy bielizny do zmiany. Dośtałyśmy pozwolenie pójścia do magazynu, gdzie były złożone nasze walizki. Wyjęłyśmy z walizek bieliznę i zapasowe bluzki, i przy tej sposobności padło ciche hasło, żeby każda ze swoich rzeczy coś dla siebie ukradła. Opisałyśmy ten fakt, oraz początek naszych koszykowych tarapatów w następujących częstochowskich rymach, na nutę lwowskiej piosenki: „Tam na salę o północy przyszli trzej cywile...”

Tam w Koszycach wielka frajda,
trzy panny zjechały.

Siostry legionowe coś tam przeszkrobały.

Trzy widelce strasznie groźne je eskortowały.

Że w niedzielę i w południe, zbiegł się ludek cały.

Od sędziego do sędziego wciąż je prowadzili,

żaden sąd ich nie chciał, wszyscy się brzydzili.

Wreszcie w jednym kryminale tak gościnni byli:
odbiór skwitowali i panny wpuścili.

Tam troskliwie obszukali kieszonki, woreczki,
zabrali pierścionki, nawet ołóweczki.

„My tu dobry hotel mamy, wszystko darmo damy,
oddajcie korony, nie trza wam mamony”.

Nudy będą rozpaczliwe w tej samotnej celi,
karty trzeba ściągnąć, byle nie widzieli.

Tak zrobiła jedna panna, druga niemniej miła
igły, nici i nożyce najzgrabniej zwędziła.

Trzecia całe pudeleczek „egipskich” zdobyła:

„Papieroski ukochane, jakbym bez was żyła!”

Wielki klucz już w zamku dzwoni.

Trzy panny zamknięte.

Jedna cicho łezki roni.

Dwie są uśmiechnięte.

To Wisia, biedactwo kochane, rozplakała się
rzewnie, gdy po raz pierwszy usłyszała za sobą
zgrzytliwy chrzęst klucza i głuchy, beznadziejny
trzask okutych żelazem drzwi więziennych.

Tak zbiegał czas aż do spaceru.

Punktualnie o jedenastej otwierały się drzwi
celi, stawał w nich któryś z kluczników. Padalo
krótkie wezwanie „Szejtan“! albo „Na szpacirku“!
(Zależnie od tego czy Węgier miał tego dnia służbę,
czy też Słowak).

Terenem „szpacirku“ było podwórze, z wszyst-
kich stron zamknięte wysokimi murami, długie na
58 kroków, a szerokie na 10. Z dumą mówili klucz-
nicy, że jeszcze nikt z tego podwórza nie uciekł.

Trochę chodżyliśmy tam i z powrotem od war-
ty do warty, przeważnie jednak siedziałyśmy na
kłodach drzewa, lub na wysokiem podmurowaniu,
zmęczone południowym letnim upałem.

Oprócz nas snuło się po tem podwórzu pięć
wygłodniałych kóz, własność pana profosa. Jedna

z nich o mało co nie wyrządziła mi wielkiej krzywdy. Doręczono mi właśnie kartkę od Julka, pierwszą wiadomość od przeszło dwóch tygodni. Nie zdążyłam jej jeszcze przeczytać, gdy raptem koza wydarła mi ją z ręki i zaczęła jeść. Z rozpaczą rzuciłam się ku niej i przemocą wydarłam jej z pyska zamoczoną kartkę.

Wracało się na obiad. Jedno z największych urozmaiceń więziennego dnia. Codzień cieszyliśmy się na nie i codzień miałyśmy zawód.

Stałem daniem była zupa, tygodniami z grochu (tak zwana „poliwka“), tygodniami z dyni, ziemisto-mętny płyn z twardemi żyłami mięsa, okraszony paru kawałkami nieobranej marchwi. Dwa razy na tydzień druga potrawa, kwaszona rzepa. Z tego specjału zawsześmy rezygnowały, wkrótce przestali go nam przynosić. Pomagałyśmy sobie, zakupując za pośrednictwem profosa pieczywo (o ile pocziwiec dał nam swoje własne kartki chlebowe), marmeladę, jajka, pomidory, ogórki, czasem rzadko trochę cukru lub kakao. Musiałyśmy jednak bardzo się ograniczać w tych zakupach i z biegiem tygodni bardzo je uszczuplać, bo rachowano nam dziesięć razy tyle, ile wynosił koszt tych skromnych wiktuałów. Radziłyśmy sobie także i w ten sposób, żeśmy z tej wstrętnej zupy wyławiały jarzynę, opłukiwały ją dwukrotnie w zimnej wodzie, aby obmyć z papryki i okropnej zasmażki, i przyrządzałyśmy sobie sałatę z octem lub z cukrem.

Tosia uważała, że „takie pieskie jedzenie“ nie zasługuje na to, aby spożywać je, siedząc na krze-

śle lub na łóżku. Na znak pogardy, jedząc, siadywała na podłodze. Natomiast Wisia i ja nakrywałyśmy stolik ręcznikiem lub chusteczką, żeby mieć jakieś złudzenie „przyzwoitego obiadu“. A trzeba było przewyciężyć wstręt nie tylko do tego jadła, ale także do menażek i obdrapanych łyżek, nad których czystością wołałyśmy się nie zastanawiać.

Jak tu zapełnić popołudnie, niemiłosiernie najdłuższe? Dawałam Tosi i Wisi lekcje francuskiego, sama uczyłam się po węgiersku, pisałam codziennie dziennik, naprawiałam, co tylko było do naprawienia z bielizny i z ubrania. I zawsze, i wciąż tyle jeszcze zostawało pustego czasu, męczącego, okrutnie jałowego, poprostu zabijającego...

I potem noc, w których krótki sen, nieprzynoszący odpoczynku, pełny zmor i jakby jakichś gorączkowych majaków...

A najgorsze: nie wiem nic o mężu, nie wiemy nic o naszych drogich towarzyszach. Jesteśmy najbardziej odcięte od wszelkiego związku ze światem. Wojna mogłaby się skończyć, a my nicbyśmy o tem nie wiedziały. Od dwóch tygodni nie miałyśmy w ręku ani kawałeczka gazety. Nie wolno! Najsurowiej wzbronione!

Błysnął nam nareszcie jakiś płomycek dzieńwiennego czerwca po południu. Wezwano nas nie spodziewanie do kancelarii sądu, nie mówiąc w jakim celu. Co za radość! Obok węgierskiego porucznika-audytora zacny mecenas Dwernicki, spokojnie gładzący swoją czarną brodę. Żeby nie ten Węgier, rzuciłybyśmy mu się wszystkie trzy na szyję.

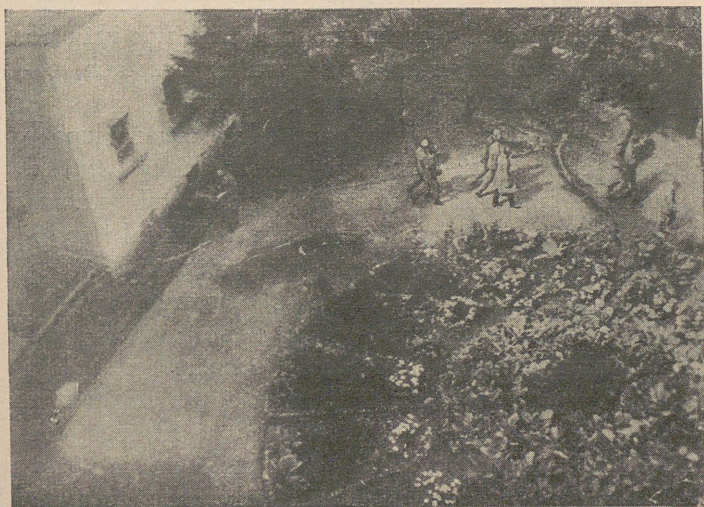
Gwałt pytań, spokojne odpowiedzi. Najpierw ta, dla mnie najważniejsza: Mój mąż stara się dzielnie dawać sobie radę z wszystkimi zgryzotami. Nie brak mu i nowych, bo zdrowie jego ojca znacznie i niebezpiecznie się pogorszyło.

Łzy zaczęły palić mnie pod powiekami: Teś mój ma tylko nas dwoje... Tak ciężko chory, a jego dzieci w więzieniu...

Zaczął nam dr. Dwernicki opowiadać o procesie w Marmaros-Sziget. Na pierwsze posiedzenie sądu wojennego przyjechali: prezes Koła Polskiego w Wiedniu dr. Tadeusz Tertil, prezes Naczelnego Komitetu Narodowego prof. dr. Władysław Leopold Jaworski, poseł Stanisław Głabiński i inni najwybitniejsi reprezentanci parlamentarzystów z austriackiego zaboru. Przyjechali, żeby dać świadectwo, że za stu trzynastu oskarżonymi stoi murem wszystko, co w Polsce jest najbardziej i najczyściej polskie. Ława obrońców w komplecie. Na sali kompanja szturmowa austriacka, uzbrojona jak do bitwy, straż „zdrajców stanu“. Na ten widok prezes Jaworski głośno zaszlochał.

Pierwszy był przesłuchany kapitan Roman Górecki, z ducha i z czynu wódz wszystkich oskarżonych. Przemawiał przez trzy dni. Oparł swoje przemówienie na szerokim politycznym podłożu, charakteryzując postępowanie mocarstw centralnych, a przede wszystkim Austrii, wobec sprawy Legionów. Kłopotliwe, nieporadne zafrasowanie malowało się na twarzach sędziów, gdy musieli słuchać, jak mówił o cesarzu Karolu, który najpierw z początkiem roku 1917-go uroczyście oddał Legjo-

ny tworzącemu się państwu polskiemu, przy tej okazji wspominając nawet Matkę Boską Częstochowską, a z końcem tegoż roku zabrał swój podarunek z powrotem, zmieniając legionowe brygady w „Polski Korpus Posiłkowy“ i rzucając je zdala od ojczyzny na front bukowiński. O traktacie brze-



Na podwórzu więziennym w Marmaros-Sziget.

skim, o niczem niezasłużonej krzywdzie, o najkrwawszym zawodzie tych, co cesarskiemu słowu zawierzyli, mówił kapitan Górecki w imieniu tych, którzy stojąc przed austriackim sądem wojennym czuli się tylko obywatelami państwa polskiego i żołnierzami niepodległej Polski,

Przejęte dumą, z nimi wszystkimi całą duszą solidarne, słuchałyśmy tego krótkiego streszczenia, które spokojnie nam opowiadał mecenas Dwernicki.

A teraz rady i wskazówki dla nas, przyczem niewiele sobie robił odważny obrońca z obecności Węgra-audytora.

— Pamiętajcie panie, że życie jest długie, a więzienie zawsze jakoś przeminie. Pilnujcie zdrowia i nerwów. O waszem aresztowaniu wie już cała Galicja, sam czytałem wzmianki w gazetach, co-prawda pokiereszowane przez cenzurę...

Nazajutrz odwiedził nas także ten najlepszy przyjaciel i opiekun. Przyniósł nam kilka książek, herbatę, cukierki i pęk róż. Depeszował wczoraj do Julka, aby go uspokoić, że mnie widział i że jestem zdrowa. To mi trochę humor poprawiło.

Nie potrafiłyśmy nawet podziękować drogiemu i dzielnemu mecenasowi zato, że specjalnie do nas przyjechał i tyle nam dodał otuchy.

Po jego wyjeździe zjawił się zaraz następnego dnia węgierski adwokat z Koszyc, o którego mój mąż za pośrednictwem dr. Dwernickiego się postarał, żebyśmy tu na miejscu miały jakąś prawną opiekę. Podpisałyśmy mu plenipotencję do prowadzenia naszej sprawy. Zrobił na nas narazie niezłe wrażenie, okazało się jednak później, że zupełnie się nami nie zajmował i całemi tygodniami się nie pokazywał.

Tego dnia miałyśmy piękną chwilę.

O dwie cele od nas, pod numerem siedemnastym, siedział młody węgierski podporucznik, od ośmiu miesięcy czekający na swoją rozprawę sądo-

wą. Widywałyśmy go czasem na spacerze, czasem zamieniłyśmy z nim parę słów po niemiecku. Żał mi go było. Żółty, zdziczały, skarżył się na straszną samotność, mówił, że każdy bandyta ma lepsze warunki, bo siedzi w towarzystwie, a on zawsze sam. Ponieważ kiedyś wrzucił nam z podwórza do celi przez zakratowane okno kilka papierosów, chciałyśmy się zrewanżować i postanowiłyśmy dać mu jedną śliczną czerwoną różę z wiązanki od mecenasa Dwernickiego. Wisia stanęła na poręczy łóżka i w chwili, gdy spacerując przechodził pod naszym oknem (miałyśmy celę na parterze), zgrabnie rzuciła mu tę różę. Podniósł ją, przytulił do piersi.

W parę godzin później, gdyśmy siedziały na pryczy i cerowały pończochy, wpada przez otwór w okiennej kratce książka, którą pożyczyłyśmy podporucznikowi za pośrednictwem więźnia-kuchacza. W książce list po niemiecku. Przepisuję go w tłumaczeniu:

„Łaskawa pani. Ponieważ jest niepodobieństwem, żebym za przemiłą dobroć Pani mógł osobiście podziękować, jestem zmuszony wybrać tę drogę surowo zakazaną. Chcę zachować tę różę, nie tylko jako pamiątkę tych bolesnych dni teraźniejszych, ale także jako przypomnienie innej róży, którą z pietyzmem przechowuję. Pochodzi ona jeszcze z czasów węgierskiej walki o wolność. Mój dziadek, komendant bataljonu, miał adjutanta, młodego polskiego arystokratę. Po zdradzie pod Vilagös i wzięciu mego dziadka do niewoli adjutant musiał ratować się ucieczką. Żegnając się

z naszym krajem, otrzymał różę od młodej węgierskiej damy. Tą damą była moja babka. Po latach umarł w Paryżu i kazał tę różę odeśłać pięknej Węgierce zpowrotem. Przecudnie ją zakonserwował, poleciwszy ją wtopić w kryształ wenecki. Ta róża z przed lat siedemdziesięciu będzie mi całe życie przypominać najpiękniejsze czasy węgierskiej historii i dwornie rycerski gest polskich oficerów. A ta róża, którą dziś dostałem i którą postaram się także przez całe życie zachować, będzie dla mnie symbolem bohaterstwa, z jakim polskie panie kochają swoją ojczyznę. Jeszcze raz najgłębsze dzięki. S. Z.“

A znów w dniu następnym inna scena z ludzkich cierpień naokoło...

Nasza cyganka, która nam sprząta celę i uważa to za jedyną rozrywkę całego dnia, przyszła rano strasznie zapłakana. Nie mogliśmy w żaden sposób się dowiedzieć, jaki był powód jej zmartwienia, ponieważ mówiła tylko po węgiersku. (Mimo to z wrodzonym sprytem potrafiła zawsze doskonale nas obsłużyć). Dopiero na spacerze powiedziała nam jedna stara Rusinka — siedziało ich w jednej celi jedenaście kobiet, — że wczoraj umarł tu w szpitalu w Koszycach mąż cyganki, przed miesiącem ciężko ranny w górach na włoskiej granicy, gdzie żołnierze giną poprostu tysiącami. Nie pozwolono biedaczce z nim się pożegnać, ani na chwilę nie puszczono jej z więzienia. Siedzi tu już od pół roku wraz z matką i siostrą męża, podejrzana o kon-

szachty z Moskalami podczas ich inwazji na Węgry, jeszcze przed trzema laty.

Gdy pojawiła się nazajutrz z miotłą i ścierką, chciałyśmy jej jakoś okazać nasze współczucie. Głaskałyśmy ją po smagłej twarzy, jakże dziś zmienionej. Jeszcze przedwczoraj była to śliczna kobieta o ciemno-granatowych włosach i ognistych oczach, o złoto-bronzowej cerze, niezmiernie wdzięcznych ruchach, drobnych, rasowych stopach. Dziś cała skulona, maleńka, szara, jakby o długi szereg lat starsza... Próbowwała się uśmiechnąć, gdyśmy jej dały trochę chleba i kminkową zupę z wczorajszej kolacji.

Potem któregoś dnia, na początku naszego rozpacziwego „szpacirku“, wjechał na podwórze wóz, wysoko wyładowany workami z grochem. Zapędzono naszą cygankę wraz z towarzyszkami z celi do wyłuskiwania grochu ze strączków. Przypatrywałyśmy się chwilę, jak, siedząc na ziemi, rzucały ładne, zielone ziarenka do wielkich saganów, które przyniesiono z kuchni. Wzięła nas ochota pomóc im w tej robocie. Pracowałyśmy z zapałem. Nasz przykład podzielał błyskawicznie. Rzucili się do łuskania grochu więźniowie, spacerujący po podwórzu po drugiej stronie budynku: dwóch zawsze wystrojonych i świeżo wygolonych sierżantów, nauczyciel ludowy, Słowak (przestępca polityczny), krawiec więzienny (oficer zdegradowany za to, że po trzyletniej niewoli w Rosji wrócił zanadto „zabarwiony na czerwono“). Niestety w nagrodę za tę żarliwą pracę dowiedziałyśmy się, że teraz przez

pięć dni z rzędu będzie na obiad i na kolację owa „poliwka“ fatalna.

Dreńczy nas może najwięcej, że dotychczas siedzimy zupełnie nadarmo. Wcale jeszcze się nie zabrano do studjowania naszych aktów, nie przyjechał jeszcze tłumacz (tutaj urzęduje się wyłącznie po węgiersku), audytorom nic a nic się nie śpieszy. Rozpacz chwyta, gdy wciąż się dowiadujemy, że prawie wszyscy czekają tu w śledztwie miesiącami, już nie tylko na rozprawę, ale na wstępne przesłuchanie.

Dopiero 26-go czerwca zaprowadzono nas po raz pierwszy do sądu brygady honwedów, który mieścił się w sąsiednim gmachu. Przyjął nas tam wysoki, przystojny oficer. Natychmiast nam się przedstawił: kapitan-audytor Hetsch. Był bardzo uprzejmy, oświadczył, że zgłosił się do niego adwokat Dwernicki i prosił go, żeby zainteresował się naszą sprawą. Doskonale mówił po niemiecku.

— W czem mógłbym paniom okazać pomoc?

— Niechże panowie audytorzy raczą nas nareszcie przesłuchać. Od naszego uwięzienia kończy się czwarty tydzień, a śledztwo jeszcze wogóle nie rozpoczęte.

— Sprawę pań ma w ręku porucznik Tassy. Pomówię z nim.

— I prosimy jeszcze, żeby nam było wolno pójść do kąpieli, żebyśmy mogły mieć własne łyżki i wyjątkowo noże i widelce... I zegarek, i ołówki, i gazety...

— Dobrze, dobrze, — lekko się uśmiechnął. —

O tem znów trzeba pomówić z panem majorem, komendantem więzienia.

Obiecywał układnie i grzecznie. Prawie nic z tych jego obietnic się nie spełniło.

W dzień po tej rozmowie rozchorowałyśmy się z Tośką. Przeleżałyśmy całe popołudnie, cierpiąc na nieznośne kurcze. Musiałyśmy się czemś struć. Prosiłyśmy o gorącą wodę w butelkach. Ani gorącej wody, ani butelek! Prosiłyśmy o herbatę. Nie dali! Jakie my „dziady nieszczęsne“, które nie mogą dostać gorącej wody na kompres i szklanki gorącej herbaty, gdy są chore.

Nieraz w nocy cieszyłyśmy się, że jesteśmy zamknięte. Naprzeciw nas na dolnym korytarzu są cele dla najcięższych przestępców. Siedzą w nich straszne draby, zawsze w kajdanach (na dzień spinali im łańcuchem prawą rękę z lewą nogą, na noc okuwali im obie ręce i obie nogi). Brzęczą temi kajdanami, wyją nieludzko, udają furjatów, żeby wy dostać się do więziennego szpitala, skąd łatwiejsza ucieczka. A może nie udają?

Tośka, zawsze taki wzór pogody i dzielności, specjalnie się tem denerwowała.

— Mówię wam, że dostanę obłądu, gdy tu jeszcze jakiś czas posiedzę. Nie wytrzymam, słowo wam daję, już długo nie wytrzymam...

Uspakajałam ją, nawet gniewałam się, perswadowałam. Ciężko mi było patrzeć, na tę ładną, dwudziestoletnią dziewczynę, której ręce drżą ze zdenerwowania, która wychudła i ma boleśnie podkrążone oczy.

Wiśka jest znacznie spokojniejsza i cierpliw-sza. Może dlatego, że przeważnie śpi.

Po kilku dniach miałyśmy w kancelarji wię-ziennej konferencję ze współnikiem naszego adwo-kata Mutniansky'ego, adwokatem Saubererem, na-turalnie także Węgrem. Starszy pan, robiący wra-żenie wielkiego Don Juana. Obejrzał nas prędko i uznał za stosowne być bardzo miłym. Nagadał dużo frazesów: nasza sprawa na doskonałej drodze, porucznik Tassy pojechał wczoraj z naszemi akta-mi do Budapesztu, tam w ministerstwie mają roz-strzygnąć, czy zostaniemy w sądzie honwedów w Koszycach, czy odeślą nas do Marmaros-Sziget do tamtejszego sądu cywilnego, czy też puszcza nas na wolność. W to ostatnie tośmy już nie uwierzyły. Rozstrzygnięcie ma nastąpić w ciągu trzech dni.

Przy tej konferencji był obecny major, ko-mendant więzienia. Pękata, łysa faska, zgóry nie-nawidząca wszystkich mieszkańców „swego pen-sjonatu“.

Skorzystałyśmy z tej sposobności i zwróciły-śmy się do niego z prośbą w myśl zaleceń kapita-na Hetscha. Mówiłyśmy z nim za pośrednictwem podoficera kancelaryjnego, gdyż „faska“ znała tylko jeden jedyny język na świecie, węgierski. Kazał mi wydać zegarek, zresztą wszelkich ulg odmówił w najostrzejszej i najniegrzeczniejszej formie.

Nie chciałyśmy jednak zrezygnować z kapie-li. Profos pocziwina urządził to na własną od-powiedzialność. Zamykano nas na kilka godzin w celi, gdzie był wmurowany kocioł do grzania

wody. Brałyśmy z naszej umywalni miednicę i, wzajemnie się oblewając, myłyśmy się co kilka dni najgruntowniej. Tam także prałyśmy bieliznę, żeby jej nie oddawać do wspólnej pralni więziennej. Nasz kolega, krawiec, użyczał nam swego siedmiokilogramowego żelazka, którem prasowałyśmy bluzki i kołnierzyki, żeby zawsze wyglądać świeżo i możliwie elegancko.

Piątego lipca widziałyśmy podczas spaceru, jak przyprowadzili do więzienia kilkanaście młodych i przystojnych robotnic z fabryki blachy na Słowaczyźnie. Mają być ukarane za strajk, spowodowany brakiem chleba. Wzięto je prosto z fabryki, jak stały przy maszynach, nie pozwolono im wstąpić do domów, chociaż niektóre z nich zostawiły małe dzieci bez opieki i bez żywności.

Tegoż dnia przyjechał do mnie z Warszawy mój ojciec.

XI.

I jeszcze Koszyckie więzienie.

Dochodziły o nas do Warszawy wieści mgliste, niedokładne, czasami dosyć alarmujące. Nie można więc było ojcu się dziwić, że chciał własnymi oczami się przekonać, co z jego awanturniczą córką się dzieje.

Przekonał się, że mimo wszystko nieźle się trzymam. Nie widziałam go przeszło od siedmiu miesięcy. Ile do pytania, ile do opowiadania! A na to wszystko tylko pół godziny, i musi się mówić po niemiecku, bo przy rozmowie asystuje kancelaryjny feldfebel. Potem z podniecenia i z radości całą noc spać nie mogłam. Nazajutrz drugie widzenie w biurze porucznika Tassy'ego. Poszłam razem z Tosią i Wisią, żeby i one miały jakąś przyjemność. Po drodze cieszyliśmy się, że po miesiącu pierwszy raz jesteśmy na ulicy, że oddychamy pełnem powietrzem, nie zamkniętem ze wszystkich stron murami.

Tassy, szczupły brunecik średniego wzrostu i bardzo sympatycznego wyglądu, zapewniał nas, że natychmiast śledztwo rozpocznie i uwinie się z niem do końca miesiąca.

Zapytała go jedna z dziewczynek:

— Czy pan będzie nas sądził, panie poruczniku?

— Nie miałbym serca.

Ojciec obsypał nas cennymi podarunkami, przywiezionymi z Warszawy: cukrem, który był tu nadzwyczajną rzadkością, masłem w dużej szklance, doskonałymi papierosami i tytoniem. Po radzie z adwokatem Saubererem postanowił zaraz pojechać do Budapesztu, aby poczynić starania o umorzenie naszej sprawy. Gdyby to się nie udało, chciał złożyć kaucję, abyśmy aż do rozprawy byli zwolnione z więzienia. Ponieważ następnego dnia była niedziela i w urzędach nicby się nie załatwiło, pojechał na tę niedzielę do Szigetu, aby odwiedzić mojego męża.

Na pożegnanie uściskał nie tylko mnie, ale równie serdecznie i Tosię, i Wisię, „siostrzeniczki z wyboru“. Obecny przy tem z urzędu sierżant kancelaryjny rzekł z uznaniem: „Ten wujek Kazimierz to milutki i wytworny jegomość“.

Mieszkali w Koszycach państwo Halmi, krewni mojej stryjenki. Nic o nich do tej pory nie wiedziałam, ani oni o mnie. Ojciec był u nich z wizytą i zaraz następnego dnia miła panna Piroszka Halmi przyniosła nam atramentowy ołówek i trzy poduszeczki, których tu nigdzie nie można było kupić, a których byliśmy pozbawione od szeregu tygodni. Teraz możemy spać jak królowe.

Ale cóż z tego, sen znów od nas uciekł.

Wyrwane z rezygnacji więziennego trybu, z ciasnoty monotonnych przyzwyczajęń, nie mogliśmy sobie poradzić z burzą nagle rozbudzonych nadziei. Jakbyśmy dopiero teraz zobaczyli, że za kratami cudnie piękny dzień letni... Ten dzień tu w celi wlece się, jakby miał sto godzin... Zrywamy się co chwila... Każdy dzwonek na korytarzu, każdy brzęk kluczy każe się spodziewać jakiejś wiadomości, jakiejś zmiany...

A nie zmienia się nic.

Czy ten, kto nigdy tak nie czekał, może mieć pojęcie, co to jest żyć bez najmniejszych wieści o swoim losie i o losie najdroższego na świecie człowieka?

Czy kto zrozumie, z jaką nadzieją patrzy się przez kraty i drucianą siatkę okienka na bramę więzienia, gdy ją wartownik tyle razy w ciągu dnia otwiera? Może to po nas? Czy kto policzy te szarpiące zawody, te spojrzenia ufnie wydzierające się po dobrą wieść i wciąż i znów oszukane?

Wreszcie doczekałam się powrotu ojca. Trzynastego lipca wezwano mnie do sądu. Docho-
dząc do budynku sądowego, usłyszałam: „Zośka“! Ojciec wychylił się przez okno, wyciągał do mnie rękę. Przywiózł gorące pozdrowienia od Julka, od wszystkich jego kolegów. Przez sześć tygodni nie przesłuchano jeszcze ani połowy oskarżonych. Proces zanosi się jeszcze na bardzo długie miesiące. Wszyscy zeznawali z godnością i z odwagą. Ucieszyłam się opowiadaniem o zeznaniach mojego męża. Sędziowie wysłuchali ich z szacun-

kiem. Najdobitniej podkreślił swoje stanowisko polskiego oficera i polskiego pisarza, więc swój podwójny obowiązek najściślejszego udziału w czynie wszystkich towarzyszy, obowiązek płynący z woli, najbardziej świadomej, i ze szczerej głębi serca.

Zdał nam ojciec dosyć niepokojącą relację z rezultatów swoich zabiegów i starań w Budapeszcie. Był w kilku ministerstwach, dotarł nawet do prezydenta ministrów dr. Weckerle'go. Dużo mętnych obietnic i gładkich słówek, ale najmniejszego konkretnego wyniku. Kaucji nie przyjęto, wyższe władze odsyłały z tem do niższych, niższe znowu do wyższych. O święta cierpliwości! Trzeba dalej siedzieć i siedzieć...

A niestety porucznik Tassy dał nam do poznania, że jest tendencja „z góry“, żeby nasza sprawa była załatwiona dopiero po zapadnięciu wyroku w procesie w Marmaros-Sziget. Przyjemne perspektywy! Tam ani za pół roku nie będą gotowi z wyrokiem!

To też bardzo smutne i przygnębiające było pożegnanie z ojcem. Starał się na wszystkie strony, trudził, jeździł, człowiek przecież już w poważnym wieku, nabiegał się, nachodził po niezliczonych wojskowych i cywilnych biurach i urzędach i wracał do Warszawy prawie z niczem, nas tu zostawiając w najzupełniejszej niepewności.

Ponury nastrój naszej celi rozpogodziły trochę tego wieczora trzy doniczki kwitnących pelargonij, które przyniesiono nam z kancelarji. Oprócz kwiatów przysłał dla nas pocziwy ojciec

do zarządu więzienia szachy, warcaby i pisma ilustrowane, ale wręczono nam to dopiero z początkiem października, gdyśmy wolne jechały już do domu.

Jedną jasną pocieszałam się myślą: Danem jest mnie i moim dwóm dzielnym koleżankom dzielić do ostatka dolę polskich żołnierzy, w nagrodę za cztery lata wiernej służby z poświęceniem osobistego szczęścia i z uszczerbkiem zdrowia dostać — jak i oni — celę więzienną. W tej wspólności czyste, głębokie ukojenie.

Dziewiętnastego lipca, więc prawie po siedmiu tygodniach naszego „daremneho siedzenia“, rozpoczął porucznik Tassy przesłuchiwanie. Przyjechał — jechał bardzo długo i bardzo powoli — przysięgły tłumacz, znający język polski.

Ja poszłam na pierwszy ogień. Audytor przesłuchiwał mnie teraz codziennie przez kilka godzin. Męczące to było, denerwujące i wkońcu okropnie nudne. Trzeba uważać na każde słowo, pamiętać dokładnie wszystko, co przedtem się powiedziało, a w dodatku istna wieża Babel: Ja zeznaję po polsku, tłumacz przekłada to na język niemiecki, ja go poprawiam, a sędzia dyktuje protokółantowi po węgiersku. Głowa pęka z tego balaganu!

Dwudziestego czwartego lipca przesłuchiwanie raptem się urwały. Porucznik Tassy wyjechał do Sziget i do Budapesztu w różnych innych sprawach, w których także prowadził śledztwo. Oprócz nas miał jeszcze sporo innych „klientów“.

Na Toškę i na Wisię przyszła kolej dopiero z końcem sierpnia. Rezolutna i śmiała Tośka powiedziała Tassy'emu: „Każdy sędzia powinien przed objęciem urzędowania najmniej ze sześć tygodni posiedzieć jako więzień w kryminale. Gdyby na własnej skórze doświadczył, jak smakuje wyczekiwanie, toby może spraw tak nie przewlekał...”

Swoją drogą w tem najsłuszniejszym zdenerwowaniu i zniecierpliwieniu wyspała się nasza kochana i odważna aresztantka dosyć niepotrzebnie. (Chodziło o tę bajeczną marszrutę z autentycznym podpisem Schillinga). Tłumacz jeszcze bardziej ją obciążył, przekręcając jej zeznania w sensie najgorszym. Byłam przy tem obecna i kilkakrotnie z gniewem zwracałam tłumaczowi uwagę na jego rażące nieścisłości. Elegancki i — muszę powiedzieć — szlachetny Tassy natychmiast przerwał przesłuchanie, zakazał protokółować i prosił mnie, żebym uspokoiła zdenerwowaną koleżankę.

Wogóle ten nasz oskarżyciel i sędzia śledczy okazywał nam daleko większą życzliwość i zainteresowanie, niż nasi sławetni obrońcy, węgierscy adwokaci. Gdy któryś z nich raczył sobie przypomnieć o naszej egzystencji, raz na parę tygodni, i zjawiał się w biurze Tassy'ego, dochodziło do dyskusji, w której my, obwinione, z większem zaufaniem odnosiłyśmy się do oskarżyciela niż do obrońców.

Coraz bardziej miałyśmy nerwy rozbite. Odbywało się to nawet czasami i na naszym tak niezwykle harmonijnem współżyciu. Zdarzały się

między nami trzema drobne nieporozumienia, rozmowy w podrażnionym tonie, chwilowe obrazy, potem przeprosiny, łzy w oczach... Od połowy lutego mieszkaliśmy przecież — czy na wolności, czy w więzieniu — w jednym ciasnym pokoju, gdzie, począwszy od łóżka, a skończywszy na bluzkach i bułkach, wszystko było wspólne. Jeszcze i tak podziwu godna jest nasza siostrzana zgoda.

Któregoś ranka (w pierwszych dniach sierpnia) posprzeczałyśmy się z Tośką o jakąś drobnostkę. Rozindyczyłyśmy się obie, Tośka zaczęła mówić bardzo podniesionym głosem. — „Nie krzycz, Tosiu, przecież nie możesz stąd wyjść i trzasnąć drzwiami“. Odrazu roześmiałyśmy się i uściskały serdecznie. I znowu największa harmonja.

Wtedy to narodził się projekt, żeby urządzić jakąś hecę, któraby trochę ubawiła i nas, i dozorców, i wszystkich więźniów-biedaków.

Wieczorne „Harum“: podoficer inspekcyjny z komendantem warty i dwoma żołnierzami obchodzą wszystkie cele i sprawdzają, czy przypadkiem nikt nie uciekł.

Dzwoniąc kluczami, wkraczają do naszej celi. Z czterech męskich piersi wyrywa się przerażony okrzyk: „ninc“ (niema)! Tak jest, niema nas, niema trzech „kiszasoniek“! Wisia weszła pod stół, przykryty długim kocem. Tośka i ja schowałyśmy się do szafki. Strasznie tam nam było ciasno i duszno. Jedna stała, druga przykucnęła, zasłaniały nas całkiem płaszcze, wiszące na wieszadle.

Nie na żarty wystraszeni zaczynają szukać.

W największym strachu nasz klucznik. Grubas włązi pod łóżko, na czworakach zagląda pod stół, z wraskiem triumfu wyciąga roześmianą Wisię.

— Gdzie tamte „legjonarki“?

— O, uciekły już dawno, a ja ze strachu schowałam się pod stołem.

Gorączkowo szukają. Zaglądają do szafki. Tylko płaszcze... Gdzieżby tu się zmieściły dwie dorosłe kobiety.

— Jak uciekły? Którędy?

Wiśka tylko się śmieje. Uczyniło się wielkie zbiegowisko, profos, wszyscy klucznicy, sierżanci z kancelarji... Wreszcie po najdokładniejszym przeglądnięciu wszystkich kątów ostatecznie musieli nas znaleźć.

— To było dobre — rzekł gruby plutonowy, ocierając pot z czoła, i zamknął najuważniej i najtroskliwiej na trzy spusty trzy biedne „kiszasonki“.

Za chwilę cały kryminał o niczem innem nie mówił. Telegrafem więziennym przez kraty i przez ściany podawano z celi do celi tę kapitalną nowinę. Śmiech i śpiewy...

Powiedział nam drugiego dnia krawiec-bolszewik:

— Kiszasonki to jak róże tu w więzieniu.

Z tym naszym humorem to różnie bywało. Znowu po kilku dniach spadła na nas „handra“, zniechęcenie i melancholja.

Zapytał mnie przez okno jeden „kolega“, gdy, znękana, z opuszczoną głową spacerowałam po podwórzu:

— Po kim pani w żałobie, że przy bluzce czarna kokardka?

— Humor umarł — odpowiedziałam posępnie.

Pchają tu się na każdym kroku posępne widoki przed oczy.

Ot na przykład: siedzi pod murem, bo nie ma sił, żeby się przechadzać, młody Madziar, dezertter. Skarży się nam łamaną niemczyzną, że go trzymają w tem więzieniu już dwadzieścia trzy miesiące, że nie chcą posłać go do szpitala, chociaż jest ciężko chory na serce (wyglądał rzeczywiście jak upiór). A najrozpaczliwsza skarga: „Zawsze jestem strasznie głodny“.

Właśnie przynieśli nam zakupy z miasta. Dałam mu duży kawał kielbasy, oczywiście ukradkiem, bo tutaj nawet własnym chlebem z nikim podzielić się nie wolno... Chłopak ten spojrział na mnie z taką wdzięcznością, a na kielbasę z taką radością, że miałam prawdziwą satysfakcję.

Teraz inni: Ta stara, siedemdziesięcioośmioletnia Rusinka, uwięziona już od pięciu miesięcy zato, że syna z domu nie wygnała, gdy urlop sobie przedłużył. Skąd staruszka, która nawet nie umie czytać, mogła wiedzieć, że popełnia przestępstwo?

Albo ten kucharz więzienny, skazany na osiem lat... Młody, silny mężczyzna, już prawie całkiem siwy.

Pewnego dnia (już druga połowa sierpnia, jedenaście tygodni więzienia) dostałam cały stos listów i kartek — naturalnie i niestety po nie-

miecku — które też od tygodni czekały na ocen-zurowanie, aż porucznik Tassy powróci z urzędo-wej podróży. Kilkanaście kartek od mego Julka, przemiły list od kochanego Norberta Okołowicza, który mi donosi, że w Krakowie urodził mu się synek i że ten młodziutki człowieczek nic jeszcze o tem nie wie, jakiego ma „ojca-kryminalnika“. Potem zbiorowa karta oficerska z Marmaros-Sziget i pełen żartobliwej fantazji list kapitana Góreckiego, zakończony takim ustępem: „Nadawca: Kapitan Roman Górecki, sąd polowy IV Generalnej Komendy, Marmaros-Sziget. Adresat: Zofja Germanowa, królewskie więzienie honwedów, Koszyce. Ładne towarzystwo, ani słowa! Ale to nic! Wszystko przejdzie, a nasza wielka idea pozostanie nieśmiertelna i nietknięta“.

Były te listy jakby zapowiedzią najrado-śniejszej dla nas legjonowej wizyty.

Kiedyś, już w pierwszych dniach września, wezwano nas do kancelarii sądowej. Myślałyśmy, że znowu czeka nas męka i nuda protokółów, z którymi jakoś w żaden sposób ani nasz sędzia, ani my nie możemy dojść do ładu. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu zaprowadzono nas nie do biura audytora Tassy'ego, lecz do pięknego gabi-netu, w którym urzędował szef sądu honwedów.

Kogo tam widzimy? Załomotały nam serca, roześmiały się nam oczy, zarumieniłyśmy się ze wzruszenia, z uciechy, z najgłębszego przejęcia... Generał Zieliński!

Kazali mu się przebrać w austriacki general-ski mundur z czerwono-złotym kołnierzem i czer-

wonemi lampasami, zamiast legjonowej maciejówki z orzełkiem trzymał w ręku wysoką austriacką czapkę sztabową z bączkiem, ale nie mogli mu zmienić tych zaciętych mazurskich oczów, kochających nad wszystko na świecie Polskę i jej Legjonistów.

Wzruszonym głosem, nad którym z trudnością panował, przywitał nas po niemiecku.

— Pan generał będzie łaskaw rozmawiać z paniami po polsku — zameldował mu porucznik Tassy w służbowej postawie. (Ani słowa po polsku nie rozumiał).

Przyglądał się generał każdej z nas przenikliwym wzrokiem, kiwał głową, brwi mu się chmurzyły.

— Niebardzo mi wyglądzie, zmizerowało was, zjadło, moje panie. Ale słyszałem, żeście po leguńsku dzielne. To grunt.

Wyjaśnił nam, że „Austryjoki“ kazały mu przenieść się z Marmaros-Sziget do Koszyc i że narazie nie wolno mu się stąd ruszać. Że już go jako świadka przesłuchali...

— Muszę wam powiedzieć, co te kochane „chłopoki“ zrobiły, gdy wszedłem na salę rozpraw. Z takim impetem, z takim hukiem i z takim ferworem zerwało się całe bractwo na baczność, że także wszyscy sędziowie mimowoli od jednego zamachu poderwali się z krzeseł i skoczyli do góry jak na sprężynach. Ano, uznają mnie „chłopoki“ mimo wszystko ciągle jeszcze za swego komendanta...

— Tak samo, jak my, panie generale.

— Zawstydziły się szpetnie te austriackie sądowniki, ale kto wpadł w pioruńską pasję, to ten wasz Schilling. Gdy on wszedł na salę poprzedniego dnia, aby zeznawać jako świadek, to pies z kulawą nogą nie obejrzał się na niego, nikt nie wstał, nikt nie zasalutował, chociaż on wyższy ode mnie rangą. Ekscelencja, feldmarszałek-porucznik, a ja tylko generał-major. Moje leguny-bestyjki dobrze wiedzą, jakie kto ma serce. A mundur, ha, trudno...

Wypytywałyśmy go o wszystkich naszych przyjaciół, o szczegóły procesu, opowiadałyśmy trochę o sobie, ciemnych barw unikając, całe rozjaśnione temi drogiemi odwiedzinami.

Tassy okazywał nadzwyczajną delikatność i dyskrecję. Poprostu tylko markował swoją obecność, wychodził do innych biur, wracał na krótko, najwidoczniej nie chciał ani kontrolować ani przeszkadzać.

Minęła może godzina. Generał zwrócił się do Tassy'ego:

— Panie poruczniku, mam do pana dwie prośby. Najpierw polecam pana opiece sprawę tych trzech pań. Ruszcie ją nareszcie z miejsca. A potem proszę, żebym mógł odprowadzić do więzienia te moje legionowe dzieci.

Tassy zawołał żołnierza, który nas eskortował do sądu. Coś mu pocichu powiedział.

Wyszłyśmy na ulicę same z generałem. I jego „zmizerowało i zjadło“. W austriackiej sztabowej czapce wydała mi się jeszcze mniejsza mała, zasuszona twarz starego żołnierza.

Eskorta zgubiła się gdzieś daleko za nami.

Droga niedługa. Już dochodzimy do bramy więziennej. Żegnamy się. Chcemy mu dziękować. Nie mamy słów...

Generał każdą z nas całuje w rękę. Na dłoń spadła mi jego łza.

Gdy ciężka, żelazem okuta brama zamknęła się za mną, przycisnęłam tę moją dłoń do ust. Łza generała Zielińskiego...

Teraz całemi dniami rozmawialiśmy tylko o nim i o nim, wydobywając z pamięci wszystko, cośmy słyszały o tym nieugiętym wodzu legjonowych pułków, z którymi przeszedł karpacką epopeję w strasznej zimie pierwszego roku wojny.

Z jakimże podniosłem uczuciem wspomniałam sobie słowa, które mi powiedział przed trzema laty w Kozienicach: „Pani do nas należy“.

W tych rozmowach i rozmyślaniach nadszedł ósmy wrzesień. To już sto dni minęło od chwili, gdy straciłam największe prawo człowieka: wolność. Sto dni zabijająco szarych. W nich tylko parę złotych nici...

Już jesień. Chłodne dni i zimne wieczory. Nasza cela coraz bardziej ponura i wilgotna.

Na pocieszenie śpiewaliśmy sobie, gdy tylko mrok zapadał. Zrobił się z tych śpiewów obrzęd cowieczorny, który wnet polubili nie tylko więźniowie ale i wszyscy wartownicy i dozorczy. Przysłuchiwali się w skupieniu i w ciszy legjonowym piosenkom, patryjotycznym pieśniom z „Rotą“ na zakończenie, czasem wesołym przyśpiewkom, któ-

reśmy własnymi słowami układały na znane melodje.

Może za tę wesołość, na którą zdobywałyśmy się czasem w najboleśniejším trudzie, lubili nas tu w więzieniu. Może zato, że zawsze było naszą największą ambicją mieć twarzę pogodną i rzeźki wygląd, choć porządnie gryzło i szarpało.

Jakby na złość samym sobie brałyśmy się znowu do psot i żartów.

Wzięłyśmy kiedyś na kawał jednego „klu-czara“, zresztą życzliwego nam, jak prawie wszyscy.

Wszedł, woła: „Na szpacirku!“

Siedzę na łóżku, na rękach trzymam „dzieciátko“. (Z dwóch jaśków zrobiłam dziecinną długą poduszkę, główkę z dwóch par pończoch owiniętych w chusteczkę, kawałek kolorowej wstążki i niemowlę gotowe!). Bujam je i nucę kołysankę.

— Nie mogę wyjść na spacer, panie kluczniku, bo dla dziecka za chłodno.

— Jakie dziecko? Co za dziecko? — nic się jeszcze nie zorjentował, a nawet trochę zaniepokoił.

Podszedł do mnie, popatrzył, ryknął śmiechem.

— Zawsze coś wymyślą, żeby człowieka przestraszyć — dodał potem z wyrzutem.

Po kwadransie wieść o niemowlęciu „kiszasoniek“ obiegła już wszystkie cele.

Gdyśmy wyszły na „szpacirek“, w okienkach pierwszego piętra głowa przy głowie.

— Pokażcie nam wasze dzieciątko? Chcemy widzieć! Pokażcie, nie szkodzi, że fałszywe!

Z tem wszystkim nie możemy się doczekać żadnego rozstrzygnięcia naszej sprawy. Niby to mamy jechać do Szigetü dla konfrontacji z urzędnikami policji granicznej, wyraźnie nam to Tassy kilkakrotnie zapowiadał, obiecując, że kto wie, czy tam nas całkiem nie zwolnią.

Zbliża się fata-morgana wolności, zbliża i zaraz najokrutniej się oddala. Już przestałam wierzyć wszystkim obietnicom, zapowiedziom i terminom. Łudzą tylko i łudzą... Już nie chcę o tem słyszeć. Nerwy zbyt bolą...

Nasze pelargonje, któreśmy dostały od ojca, z początku protestowały przeciw wegetowaniu w niewoli, w celi bez światła i bez słońca. Potraciły dużo listków i pożółkły. Myślały, że wyjdą na wolny świat, ale gdy się przekonały, że protestem nic nie poradzą, zakwitły nanowo i nowe listki im urosły. Pogodziły się z losem, zrezygnowały.

Lecz ja nie zrezygnuję! Z takim losem nie pogodzę się nigdy!

Miarą mojej ówczesnej rozpaczny był zapissek uczyniony w moim dzienniku pod datą 14-go września:

„Ja tak nie umiem żyć! Julku mój i wy drodzy, tam w domu, z którego wysłałam Polką i człowiekiem, matko moja najdroższa, wierzajcie mi, że już nie mogę tu dłużej wytrzymać! Ja nie chcę już więzienia!”

XII.

Dzwony we Lwowie.

A jednak nadszedł dzień wyjazdu do Marmaros-Sziget. Nadszedł nawet już nazajutrz. Wierzę, że nie nadaremnie lecą w przestwór skargi najszczerze. Wierzę, że czuwa nad nimi niewypowiedziana i niepojęta Obecność najświętsza.

Piętnastego września rannym pociągiem o czwartej wyprawiono nas z najstarszym klucznikiem, sierżantem, któremu wydano z kancelarji nasze pieniądze i polecono, aby wszystko za nas płacił w czasie drogi... Jak nam powiedziano, porucznik Tassy już od kiku dni jest w Szigecie.

Gdy poprzedniego wieczora zamykano po „harum“ naszą celę, wszystkie „kluczary“ żegnały nas jakby kogoś bliskiego. Stary profos uhonorował nas podaniem ręki i wyraził nadzieję, że wkrótce odzyskamy wolność. Uspakajałyśmy wszystkich, że wrócimy, choćby tylko po nasze rzeczy. Pozwolono nam bowiem zabrać z sobą tylko jedną małą walizeczkę, w której mieścił się bagaż podróżny, potrzebny dla nas trzech na dni parę.

Oczywiście żadna z nas ani na minutę nie zmrużyła oka w ciągu tej, może ostatniej nocy w więzieniu koszyckiem.

Byłyśmy nieprzytomne z radości, choć znowu jechałyśmy do więzienia. Ale do tego samego więzienia, gdzie nasi.

Czy oni się domyślają, czy już wiedzą? Czy też się cieszą, że po tylu miesiącach się zobaczymy?

Na jakiejś węzłowej stacji trzeba było czekać parę godzin. Usiadłyśmy w sali bufetowej i zjadłyśmy obiad, „jak ludzie“. Nasz klucznik siedział z nami i był naszym gościem. Ale ten gość zaproszony płacił za swoje gospodynie. Zdawało się nam, może trochę przeczulonym, że każdy, patrzący na nas, odrazu się orjentuje w naszej sytuacji aresztantek, podróżujących pod eskortą. Przypięłyśmy sobie do płaszczyków legjonowe orzełki, zdjęte z kochanych maciejówek. Niech wszyscy wiedzą, że jesteśmy Polki i „polityczne przestępczynie“.

Późnym wieczorem zajechałyśmy nareszcie na miejsce. Umieszczono nas w tem pamiętnem historycznem więzieniu na oddziale kobiecym, na drugim piętrze. Odebrała nas od koszyckiego sierżanta tutejsza profoska, chuda, czarna, na pierwszy rzut oka „stara czarownica“ (w gruncie rzeczy wcale dobra kobieta), zawsze z cygarem w zębach lub z fajką z długim cybuchem aż do pasa. Tę jej namiętność do palenia umieli doskonale wykorzystać nasi chłopcy, bo jeszcze tegoż wieczora przyniosła nam, suto przez nich tyto-

niem uraczona, różne prowianty na kolację, przysłane przez „polskich panów Legionistów“.

Pięć dni szczęścia w więzieniu! Zdarzają się i takie paradoksy.



Kluczniczka z Marmaros-Sziget.

Zaraz następnego dnia zobaczyłam się z Julkiem. I zapomnieliśmy oboje, że przed miesiącami przeżyliśmy w tym samym gmachu chwile najstraszniejszego pożegnania. Zapomnieliśmy, cho-

ciaż i przy tem widzeniu asystował ten sam kapitan-audytór Ustjanowicz.

Gdyśmy szły na przesłuchania, na schodach czekali zawsze nasi przyjaciele, którzy mieli cele otwarte i w obrębie pierwszego piętra mogli poruszać się swobodnie. Parę słów, uścisk ręki, kartka podana tajemnie, jakiś mały podarunek, papierosy lub kawałek czekolady...

Nie policzyć tych dowodów szacunku, przyjaźni i radości, któremi nas otoczyli wszyscy kochani towarzysze niedoli.

Każda przesyłka z pierwszego piętra na drugie była wypełniona zakonspirowaną korespondencją. Bułki — plecione chałki — były faszerowane karteczkami, w słoiku z cukrem listy. Zanim zabrałyśmy się do spożywania tych darów, rewidowałyśmy wszystką „żywność“ z największą niecierpliwością i uciechą.

Już pierwszego dnia pomimo niemiłych indagacji, pytań, zeznań, odzyskałam dawną wesołość i pogodę i czułam, jak z każdą sekundą opada ze mnie i rozwiewa się bez śladu szara pleśń przeżyć koszyckich, a wstępuje promienna wiara w nowe, radosne i bujne życie dla naszej całej gromady.

Od miesięcy nie miałyśmy w rękach gazety. Poprosiłam kapitana Henryka Lewartowskiego, z zawodu dziennikarza, aby mi napisał krótki komunikat o wypadkach na świecie poczynawszy od pierwszych dni czerwca. Po kilku godzinach (dobra czarownica z fajką była świetnym listonoszem), dostałam wielką epistolę, zwiniętą w rulo-

nik i włożoną do długiej bułki. Dopiero teraz dowiedziałam się o zamordowaniu cara Mikołaja II, o wojskach amerykańskich we Francji, o zupełnem załamaniu się ofensywy Hindenburga, o klęsce wojsk austriackich nad Piawe, gdzie Włosi wzięli do niewoli armję przeszło stutysięczną. Dowiedziałam się o bitwie pod Kaniowem, o przebijaniu się resztek drugiej brygady aż na Murmań, o uwięzieniu w Moskwie Wieniawy-Długoszowskiego, o straceniu Marjana i Józefa Lutosławskich.

Piękny list dostałam od żołnierzy i podoficerów — więźniów stanu — i odpisałam im, szczęśliwa, że mam w nich tak oddane serca.

Dużo kłopotu miały władze więzienne ze swoimi „lokatorami“ podczas naszego pobytu w tym kryminale.

Ale cóż mogły zrobić? Chyba jeszcze raz klucz w zamku przekręcić!

Mówiliśmy sobie, pełne otuchy, że jeżeli nas zasądzą na kilka lat, a choćby tylko kilkunastu Legionistów uwolnią, to ci zwolnieni wezmą sobie za punkt honoru, żeby nas jak najprędzej wykraść czy też odbić. Na to możemy liczyć napewno. Leguny nas w żadnym razie nie opuszczą, a dadzą radę i samemu djabłu!

Prosiłyśmy Tassy'ego, żeby nas wezwano jako świadków na rozprawę, która tu każdego dnia dalej się toczyła. Rwały nam się oczy do zobaczenia tej sali, tych stu trzynastu, pilnowanych przez uzbrojoną od stóp do głów szturmową kompanję, tego amfiteatru oskarżonych, tego szanca

wolności, nad którym — niewidzialny dla sędziów i dla codziennego wzroku — unosił się niezwykcieżony sztandar z Orłem Białym.

Tassy, jak zawsze życzliwy, byłby się pewnie zgodził, ale oparł się temu stanowczo major Hannel, podobno wskutek najostrożniejszego sprzeciwu Schillinga, który widocznie się obawiał, że „niebezpieczna działaczka pani Germanowa“ wraz ze swemi niemniej groźnemi towarzyszkami znowu mu tu urządzią jakąś ambarasującą niespodziankę.

Z błyskawiczną szybkością przeminęło tych pięć dni, takich radośnie barwnych i — choć to już jesień — prawdziwą wiosną krzepiących.

Nabrałyśmy wszystkie nowej energii, nowego hartu i dzielności, gdyśmy się napatrzyły na tych naszych oficerów i żołnierzy, którzy po ośmiu miesiącach więziennej udręki i pod grozą najcięższych wyroków znoszą swój los hardzi i niezłomni, z pogardliwą rycerską dumą i z uśmiechem śmiałej nadziei. Na twarzy każdego z nich widziałyśmy ten uśmiech. Więc musiał się dostać i do naszych serc, rozgrzać je i umocnić.

Wróciłyśmy do Koszyc. Znowu ta sama cela, ta sama jałowa szarzyzna. Ale my już inne. Wyczuwamy teraz każdym nerwem, że nadchodzi jakiś wstrząs, jakiś przełom, że wisi już w powietrzu, że przez kraty i zaryglowane bramy wdzierają się już jego powiewy do cel więziennych.

Brzmia mi wciąż w uszach słowa doktora Liebermana, który objął obronę mojego męża i ciągle mu powtarzał: „Panie Juljuszu, niech mi

pan wierzy, do wyroku nigdy nie dojdzie. Zanim te austriackie niedorajdy namyślą się co z wami zrobić, przywróci wam wolność rewolucja. Trzeci już ten cały zmurszały gmach habsburskiej monarchji, rozsypuje się od fundamentów. Rewolucja otworzy wam bramy tego więzienia“.

Trzydziestego września wezwano nas do sądu przed południem. Znowu wielce się dziwimy, że prowadzą nas do gabinetu samego szefa. Jest ten szef, jest porucznik Tassy... Obaj bardzo uroczyści, nawet jakby wzruszeni.

— Wezwałem panie — mówi nasz sędzia śledczy — żeby podzielić się z paniami pierwszorzędną i doskonałą nowiną. Dostałem przed chwilą depeszę, że z cesarskiego i królewskiego rozkazu proces w Marmaros-Sziget został zupełnie umorzony. Wszyscy oskarżeni są już wolni.

Podał każdej z nas rękę i za jego przykładem uczynił to szef sądu.

Milczymy, żadna z nas nie może zdobyć się ani na jedno słowo.

— Cóż panie na to? — spytał Tassy, trochę zdumiony naszym milczeniem.

Może dopiero po jakiejś minucie powiedziałam głosem dosyć zdławionym:

— Proszę o pozwolenie wysłania zaraz dwóch depesz. Jednej do byłych oskarżonych w Marmaros-Sziget, drugiej do mojego męża.

— Najchętniej, niech pani już pisze. Ale nie pytacie się panie, co będzie z wami, z waszą sprawą?

— Jeszcześmy o tem nie pomyślały.

— Więc tylko o nich, nie o sobie... Cześć wam, Legjoniści i legjonowe panie, — powiedział nasz oskarżyciel - Węgier i skłonił głowę. — Pojadę dzisiaj do Budapesztu i dołożę wszelkich starań, żeby sprawa pań była także objęta abolicją tamtego procesu. Chciałbym, aby panie już jak najprędzej wróciły do swoich domów, odpoczęły i zapomniały...

Idąc zpowrotem do naszej celi, czułyśmy się już wolne i swobodne, chociaż za nami szedł żołnierz z nabitym karabinem.

Myślałam sobie: „Zapomnieć? Wcale nie chcę zapomnieć! Kocham to wszystko, com przeżyła razem z nimi, dla nich i przez nich... I te trudy, i rozpacz, i smutki... I te radości, gdy patrzyłam na porywy ich bohaterstwa... I te braterskie z nimi przyjaźnie... To jest moje bogactwo, i tego nikt mi nie zabierze“.

Teraz zdarzenia potoczyły się lawiną.

Depesza za depeszą... Od Julka, od jego ojca z Wiednia, wspólny telegram od wszystkich byłych podsądnych.

Z promiennemi oczami czytałam słowo: „wolni“.

Powrót Tassy'ego z Budapesztu. Pod wartą idziemy do sądu, gdzie nasz sędzia oświadcza nam z uradowaniem, że możemy już same iść na miasto, bylebyśmy po południu koło piątej przyszły do kancelarji załatwić różne formalności.

Wychodzimy na ulice tego miasta, w którem przeżyłyśmy takie ciężkie cztery miesiące, a którego dotąd całkiem nie znamy.

Oglądamy się za siebie. Niema warty! Jakos nam niesamowicie...

Pierwsze kroki uczących się chodzić na swobodzie... Przedewszystkiem do urzędu pocztowego. Wysyłamy w świat do naszych bliskich i kochających wieść radosną.

Potem z pękiem kwiatów idziemy do państwa Halmi, podziękować za życzliwość i opiekę.

Wieczorem wybieramy się z panną Piroszką i z jej bratem adwokatem Belą do restauracji. Cygańska orkiestra, czardasze... Twarze nam płożą, oczy się śmieją...

Wolno nam już zanocować w hotelu, ale przecież na dzień czy dwa nie chcemy się przeprowadzać. Z własnej woli wracamy na noc do więzienia. Jedziemy dorożką. Dorożkarz oczy i usta szeroko otworzył, gdyśmy mu powiedziały, że ma jechać do „Foghazu“. Myślał, że to żart. Czekał, czy wartownik naprawdę nas tam wpuści. Odjechał, jeszcze bardziej zdumiony. Klucznik po dawnemu najstaranniej zamknął naszą celę, bo „w więzieniu musi być ścisły porządek“.

Mimo to wprowadziłyśmy do więziennego państwa dosyć zamętu przez te dwa dni dobrowolnego w niem pobytu. Przynosiłyśmy gazety, marki do listów, karty, słodczyce i rozmaite przysmaki — naturalnie już nikt nie śmiał nas rewidować — i rozdawałyśmy te specjały zaprzyjaźnionym dawnym kolegom. Klucznicy z urzędu pomstowali i mruczeli, lecz patrzyli na te nadużycia przez szpary. Mieli słabość do tych trzech „kiszasoniek“.

Z Julkiem porozumiewałam się depeszami. Byłam pewna, że zaraz tu po mnie przyjedzie. Dał mi znać, że musi jeszcze najmniej z tydzień pozostać w Marmaros-Sziget. Po umorzeniu procesu? Któż to może więzić zwolnionych „cesarskim i królewskim rozkazem“?

Któżby inny, jak nie Ekscelencja Schilling! Abolicja abolicją, zatrzymuje się tu „polskich panieczów“ w „drodze administracyjnej“. Już niema Legjonów ani Polskiego Korpusu Posiłkowego. Są tylko „poddani austriacy“, którzy mają stanąć przed komisją poborową i pójść bronić rozlatującej się „austriackiej ojczyzny“, oficerowie w randze feldfebli, podoficerowie i żołnierze jako prości szeregowcy. Wyśmiewali się Legjoniści z tej Schillingowej komedji, w którą chyba i on sam już nie wierzył, ale puszczać to ich nie puszczał.

Trzeciego października w południe wyjechaliśmy z Koszyc do Krakowa.

Z wielką serdecznością, z szacunkiem i z uznaniem zegnał się z nami porucznik-audytor Tassy.

Powiedziałam do niego, gdy po raz ostatni wychodziłyśmy z kancelarji sądowej:

— Panie poruczniku, proszę przyjąć od nas, trzech polskich sanitariuszek, tego legjonowego orzełka na pamiątkę. Poznałyśmy w panu prawdziwie dobrego — człowieka.

Podziękował z niekłamanem wzruszeniem.

Rano w Krakowie poszłyśmy na Wawel. W katedrze uklękłyśmy przed ołtarzem ze srebr-

nym Chrystusem. Opadły z nas tu resztki smutków i znużenia.

Odwiedziłyśmy profesora Stanisława Kota, z którym jeszcze jako „Komitet“ w Huszcie utrzymywałyśmy ożywioną korespondencję. Wieść o naszym przyjeździe rozeszła się nadzwyczajnie szybko.

Pierwszym, który przybiegł do nas do hotelu i gorąco nas uściskał, był mojego męża i mój szczerzy przyjaciel, artysta-rzeźbiarz i doktor medycyny Henryk Kunzek, lekarz legjonowy, długobrody, przedziwnej zacności „Kunio“, o oczach, rozumiejących każde cierpienie i o kryształowej duszy. (Niestety przedwcześnie zmarł nam ten przyjaciel kochany).

Gdyśmy po południu wpadły na chwilę do naszego hotelowego pokoju, zastałyśmy masę bileatów wizytowych, które złożyli dla nas różni znajomi i nieznajomi. Czekał na nas ogromny pęk róż z bardzo miłą kartką od pułkownika Władysława Sikorskiego. Całem sercem byłam mu wdzięczna za te kwiaty i za te słowa, tembardziej, że zawsze ceniłam w nim stalową moc charakteru i najgłębszą miłość ojczyzny.

Byłyśmy uradowane, najszcześliwsze, ale i trochę zawstydzone. Nagradzają nas naprawdę ponad zasługę... Przecież każda Polka w naszych warunkach i na naszym miejscu postępowałaby tak samo.

Po podniosłych, „owacyjnych“ dwóch dniach w Krakowie rozstałam się z Tosią i z Wisią, najlepszymi, najwierniejszymi przyjaciółkami i sio-

strzyczkami, które na całe życie pokochałam za ich dzielność, jasność i pogodę.

Pojechały do swoich rodzin, ja zaś pojechałam teraz najpierw do Lwowa, do matki Julka. On miał tam lada dzień przyjechać.

Przyjechał szóstego października w nocy. A nazajutrz, gdyśmy się obudzili, usłyszeliśmy, że w całym mieście biją dzwony. Na jakąż-to uroczystość, na jakie święto?

Ubraliśmy się szybko, wyszliśmy na ulicę. Chwytały gazetę... Wielki druk odrazu rzuca się w oczy... „Rada Regencyjna do Narodu Polskiego“.

Czytamy... Manifest, głoszący zjednoczenie wszystkich ziem polskich, polityczną i gospodarczą ich niezawisłość, dostęp do morza... Przestały istnieć zabory! Słupy graniczne i kordony straszały się, runęły w proch.

Czytamy: „Polacy! Okażmy się godnymi tych potężnych nadziei, które zgórą przez wiek żywili wśród ucisku i niedoli ojcowie nasi. Niech zamilknie wszystko, co nas wzajemnie dzielić może, a niech zabrzmi jeden wielki głos: Polska Zjednoczona Niepodległa“.

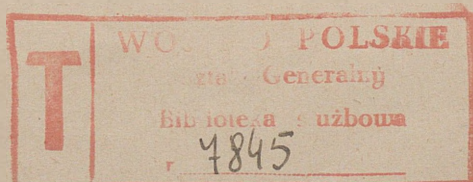
Dzwony biją. Na cześć, na triumf Polski, wolnej już nazawsze, niepodległej na wieczność. Biją potężnem echem wszystkich dawnych niedoli, dzwonią najpotężniejszym spiżem zwycięskiej nadziei, niezłomnej wiary w przyszłość.

Biją dzwony we Lwowie...

Pisałam w Warszawie, w zimie 1935-go roku.

SPIS TREŚCI.

	Str.
Przedmowa	7
1. Przejście brygady	11
2. Pierwsze więzienie	24
3. Bustya-Haza	39
4. „Komitet” w Huszcie	49
5. Wywiady	66
6. Ucieczki	76
7. Goście z kraju	90
8. Plan wykradzenia więźniów	102
9. Aresztowanie	114
10. Koszyce	139
11. I jeszcze Koszyckie więzienie	156
12. Dzwony we Lwowie	171





WOJSKO POLSKIE

Sztab Generalny Oddz. II.

Biblioteka

Nr 117



48750/
2

